EPOKA

ROK VI. Warszawa, 15 lutego 1939 r. ROK VI Nr 5 (144)

W 20-lecie parlamentaryzmu polskiego

Gdy w dniu 10 lutego 1919 roku zebrał się pierwszy Sejm odrodzonej Rzeczypospolitej, zjednoczenie państwa w jeden nowoczesny, jednolicie rządzony, oparty na głębokim poczuciu łączności wszystkich dzielnic, organizm polityczny — w tym Sejmie Ustawodawczym znalazło dopiero swój widomy, prawny i moralny, wyraz.

Parlamentaryzm polski symbolizował ostateczne zakończenie ponurego okresu rozbiorów. On położył raz na zawsze kres stuletniemu z górą rozdarciu Ojczyzny i w krótkim czasie zdołał przekreślić przedziały dzielnicowe nie tylko w ustroju państwa lecz także — niemal bez reszty — w duszy narodu. Były oczywiście trudności i hamulce. Reakcja wszystkich odcieni bardzo zręcznie wygrywała przeciwieństwa, pozostałe z okresu zaborów, żerowała na nich dla własnych, antydemokratycznych i antynarodowych celów. A przecież i w Sejmach niepodległej Polski, od pierwszego, ustawodawczego, począwszy, reakcja, jawna lub zamaskowana, rozporządzała potężnymi wpływami. Jeżeli wbrew jej wysiłkom młody nasz parlamentaryzm podołał trudnemu zadaniu demokratyzacji życia polskiego, jeżeli umiał pchnąć je na tory nowoczesnego rozwoju politycznego i cywilizacyjnego — to pozostaje to jego historyczną zasługą i podstawą do odrodzenia go z obecnego niebytu.

Ten pierwszy Sejm narodu polskiego po odzyskaniu niepodległości był dzieckiem demokracji — jak sama niepodległość była jej dziełem! Wybrany w demokratycznym głosowaniu wszystkich obywateli, złożony z przedstawicieli obdarzonych zaufaniem narodu stronnictw politycznych, dokonał parlament wielkiego, demokratycznego dzieła budowy państwa. Te wyśmiewane dziś „pięć przymiotników“ okazały się twórczym instrumentem myśli państwowej. Utworzone na ich podstawie przedstawicielstwo narodowe dało Polsce nowoczesną, demokratyczną konstytucję, dało jej śmiałą reformę rolną, niestety wskutek nacisku reakcji niewykonaną, dało szeroko rozbudowany, na samorządzie oparty, system ubezpieczeń społecznych, zorganizowało oświatę — że wskażemy tylko na najdonioślejsze osiągnięcia pierwszego Sejmu wolnej Polski.

Stronnictwa polityczne — *wszechpolskie* w najlepszym tego słowa znaczeniu — położyły niespożyte zasługi w dziele obalenia międzydzielnicowych słupów granicznych. One, pod wspólnym sztandarem, w imię wspólnej idei, w walce o realizację wspólnego programu „partyjnego“ — skupiły wielkie odłamy narodu w wielkich obozach ideowo-politycznych, których obywatelska działalność rozciąga się na cały kraj, na wszystkie jego dzielnice! Wyklinany dziś „system partyjny“ zlikwidował pozostałe po zaborach partykularyzmy i prowincjonalizmy, scementował Rzeczpospolitą, nadał jej jednolity ustrój prawno-polityczny, dokonał zespolenia narodu z państwem.

Ciężkie niedomagania i niewątpliwe przewiny, na które nam, demokracji polskiej, nie wolno zamykać oczu, sprawiły, że parlamentaryzm polski nie wypełnił niestety wszystkich zadań, przekazanych mu przez historię, że nie zrealizował w całej rozciągłości społecznego, politycznego i kulturalnego programu demokracji ludowej. I dlatego, zaatakowany po siedmiu zaledwie latach istnienia, nie zdołał wykrzesać z siebie koniecznej siły oporu, bo w decydującym momencie masy nie stanęły w jego obronie. Obóz antyparlamentarny i antydemokratyczny trafnie wyczuł sytuację, dostrzegł pewne osamotnienie parlamentu w społeczeństwie, wykorzystał rozczarowanie i zniecierpliwienie mas, które w tym pamiętnym okresie napróżno oczekiwały od Sejmu śmiałej i dalekowzrocznej polityki czynu. A wraz z parlamentaryzmem i demokracja została w Polsce zlikwidowana.

Na gruzach jej zapanował system, którego skutki odczuwa dziś cały kraj.

Pius XI

Że wszelkie analogie historyczne posiadają wartość nader problematyczną i że nawet analogiczna formalnie działalność dwóch postaci dziejowych, ucieleśniających ten sam światopogląd, reprezentujących identyczną ideologię, służących temu samemu ideałowi, w ocenie historycznej nie da się bez reszty sprowadzić do wspólnego mianownika — o tym łatwo przekona się każdy, kto zapragnie zestawić z sobą rolę dziejową dwóch największych papieży naszej doby: Leona XIII i Piusa XI.

Przecież obaj ci następcy św. Piotra reprezentowali aktywną postawę katolicyzmu wobec najistotniejszych problemów współczesności. Obaj formułowali stanowisko katolickie wobec najtrudniejszych, społeczno-kulturalnych i wprost politycznych zagadnień naszego wieku, ingerowali autorytatywnie w wielkie konflikty ideowe, rozdzierające świat cywilizacji zachodniej. I Leon XIII i Pius XI byli wielkimi ideologami. Znaczenie ich trudu życiowego dla współczesności i historii daleko wybiega poza granice świata katolickiego, którego byli najwyższymi sternikami. Katolicka doktryna społeczna, która stała się programową podstawą masowych ruchów chrześcijańsko-społecznych w wielu krajach, w obu wielkich papieżach znalazła najznakomitszych swych przedstawicieli. Słowo, które w pismach Leona XIII i Piusa XI głosiło tę doktrynę, pozostanie na zawsze klasycznym jej sformułowaniem.

Rok 1893. Potężne konflikty społeczne wstrząsają gmachem ustrojowym w krajach nowoczesnego kapitalizmu. Towarzyszy im głębokie rozdarcie ideowo-polityczne. Masowy ruch socjalistyczny kroczy od zwycięstwa do zwycięstwa. Po przeciwnej stronie zaznacza się pierwszy odpływ od starego liberalizmu, co zresztą odpowiada też nowej ewolucji gospodarczej przodujących krajów Europy i Ameryki Północnej ku systemowi wysokiej koncentracji finansowo-przemysłowej. W tym momencie encyklika „Rerum Novarum" proklamuje doktrynę chrześcijańskiego solidaryzmu społecznego jako najskuteczniejszą zaporę przeciw laickiemu duchowi socjalizmu. Odgradzając się równie stanowczo od racjonalistycznego liberalizmu minionej doby, Leon XIII formułuje całkowity program ruchu chrześcijańsko-społecznego, który akceptując pewne postulaty reform społecznych, nadaje im jednocześnie kierunek i charakter patronacko-filantropijny, a przez to zwraca dążenia robotnicze na tory charytatywnego lub conajwyżej samopomocowego korporacjonizmu, wzorowanego na średniowiecznym ustroju cechowym. Nic dziwnego, że przedwojenny ruch chrześcijańsko-społeczny w wielu krajach odegrał rolę hamulca w stosunku do demokratycznych dążeń świata pracy. Wystarczy wskazać na reakcyjny charakter tego ruchu w Austrii, na rolę chadecji polskiej. Przeciwstawiając się też mieszczańskiemu liberalizmowi i niejednokrotnie nawet demokracji politycznej, klerykalizm socjalny w niemałym stopniu przyczynił się do obalenia ustroju demokratycznego, że wskażemy znowu na Austrię powojenną.

Rok 1933. Wielka ofensywa faszyzmu. Hitler u władzy w Niemczech. W Austrii i w Hiszpanii stara reakcja klerykalna przechodzi na pozycje faszystowskie i gotuje się do walnej rozprawy z demokracją. Dollfuss i Gil Robles wkładają faszystowską treść w stary program katolicyzmu socjalnego. Zasady jego, na nowo sformułowane w encyklice „Quadragesimo Anno" Piusa XI, mają w intencjach niektórych reakcyjnych odłamów katolickich posłużyć — jak przed laty czterdziestu — dla walki z demokracją, dla wprowadzenia klerykalnego faszyzmu. W obu krajach próba ta zawodzi. Kto inny zrealizował faszyzm. Neopogański, rasistowski i już nie tylko antykatolicki, ale otwarcie antychrześcijański hitleryzm staje na czele międzynarodowej reakcji i narzuca swą ideologię dyktaturze włoskiej, z którą tak niedawno dopiero, kosztem wielkich ustępstw, doprowadził Watykan do jakiego takiego „współżycia". Tuż obok bazyliki św. Piotra powiewa sztandar z krzyżem, który „nie jest krzyżem Chrystusa".

Katolicyzm i demokracja, najbardziej nawet „laicka", stają w tej sytuacji wobec wspólnego wroga. Hitlerowski totalizm głosi nową religię barbarzyńskiej przemocy, proklamuje kult brutalnej siły, w niwecz chce obrócić dorobek całych stuleci pracy cywilizacyjnej, przekreśla wszystkie prawne i etyczne normy ludzkiego współżycia. Terorystyczna ofen-

„EPOKA" nie jest pismem przypadkowym ani koniunkturalnym. „EPOKA" kontynuuje tradycję, zapoczątkowaną przez wspaniałe ogniska kultury i myśli polskiej, postępu i wolności — przez „GŁOS", „PRAWDĘ", „OGNIWO", „SPOŁECZEŃSTWO".

„EPOKA" pod inną dziś nazwą, ale pod tym samym sztandarem trwa na szańcu DEMOKRACJI I NIEPODLEGŁOŚCI.

sywa krwawej despotii uderza już nie tylko w liberalizm i socjalizm, ale z niemniejszą zaciekłością atakuje Kościół katolicki, gromi chrześcijański ruch społeczno-kulturalny, organizuje wielką kampanię ideologiczną przeciw katolicyzmowi, godzi w niezależność organizacji kościelnej, gwałci swobodę sumienia ludności katolickiej, prześladuje duchowieństwo, konfiskuje listy pasterskie biskupów, bulle i encykliki papieskie. Wskrzeszony kult Wotana i Kupały wyraża nieprzejednane przeciwieństwo między światopoglądem faszystowskim a katolickim.

Na takim tle dziejowym rysuje się postać wielkiego papieża, Piusa XI, jako niezłomnego rzecznika człowieczeństwa i kultury, którego płomienne słowo donośnie rozlegało się w ostatnich latach daleko poza środowiskami ściśle katolickimi. W światowej walce demokracji i faszyzmu katolicyzmowi przypada dziś w udziale rola bardzo różna od tej, którą odegrał za Leona XIII i później, aż do niedawna. Jeżeli są i dziś w sferach katolickich i nawet na szczytach hierarchii kościelnej osobistości, które nie zrozumiały znaków czasu, nie pojęły różnicy między epoką Leona XIII i epoką Piusa XI, które — krótko mówiąc — przespały czterdzieści lat burzliwej historii, to śmiało rzec można, że dla nich życie i dzieło Piusa XI pozostanie na zawsze księgą zamkniętą na siedem pieczęci! Kto nie zaczerpnął głębokiej nauki z tragicznych doświadczeń austriackich i hiszpańskich — ten w ogóle nie rozumiał zmarłego papieża za życia i nie zrozumie go po śmierci.

Ale napewno rozumieją i właściwie oceniają rolę dziejową Piusa XI wszyscy, którzy, zajmując nawet odmienne, nieraz biegunowo przeciwne stanowisko światopoglądowe, widzieli w zmarłym sterniku Kościoła niepospolitą siłę intelektualną i moralną, broniącą drogich każdemu demokracie, każdemu uczciwemu człowiekowi, wielkich zasad ludzkości.

Dekada polityczna

Wyścig mobilizacyjny stronnictw oporu i kapitulacji.

Ubiegła dekada nie przyniosła nam spodziewanej, definitywnej rozgrywki, na którą liczyły stolice osi. W historii naszego pokolenia — trzeba będzie pisać tę historię nie latami, nie miesiącami nawet, jak historię innych czasów, ale tygodniami — koniec stycznia i początek lutego 1939 będą figurowały pod znakiem nierozegranych partii, wzajemnej gry na zwłokę. Ale jest to zarazem okres, kiedy pod osłoną pozornego bezruchu odbywa się gorączkowa mobilizacja sił, mobilizacja nie tylko wojskowa, ale moralna i gospodarcza, bloku totalistycznego z jednej, „wielkich demokracji" z drugiej strony, a równocześnie mobilizacja stronnictw oporu i kapitulacji wewnątrz demokratycznych społeczeństw Zachodu.

„Stronnictwo oporu" wzmocniło, mimo wszystko, swe pozycje w ubiegłych dniach. Jest to niewątpliwie następstwo akcji Roosevelta, w dużym zaś stopniu — poczucia bezpośredniego niebezpieczeństwa w społeczeństwie Zachodu. Ale obóz nowego Monachium nie daje za wygraną — obok nienagannych mów i możliwych zasadniczo deklaracji i not dyplomatycznych odbywają się — jak stwierdza Pertinax w stosunku do min. Bonneta — ciche rozmówki telefoniczne z przyjaciółmi pewnych ministrów, z przyjaciółmi, którzy „przypadkowo" są również przyjaciółmi nieprzyjaciół kraju ojczystego tych ministrów. Dopóki rządy Francji i Anglii znajdują się w rękach monachijczyków, popieranych ponadto przez pewne, niezwykle wpływowe koła finansowe — trudno przyjąć, że niebezpieczeństwo nowej kapitulacji Zachodu zostało definitywnie zażegnane. Zostało ono narazie odsunięte, kapitulacja została utrudniona. Jest to wiele, jeśli opozycja ludowa Zachodu potrafi czas pozostały do jej dyspozycji wykorzystać dla wielkiej ofenzywy, która zmiecie kapitulantów. Może to być bardzo mało, jeśli uspokojona „mocnymi" słowami Daladierów i Chamberlainów opinia publiczna Zachodu osłabi bodaj na chwilę walkę z obozem światowej Targowicy.

Roosevelt uderza w oś.

Wywody prezydenta Roosevelta, poczynione na tajnym posiedzeniu Senatu, odegrały rolę katalizatora nastrojów „opornych". Wiadomo już dziś — dzięki serii wyjaśnień — czego Roosevelt nie powiedział, ale i to co powiedział. Nie powiedział mianowicie— tylko to zdanie objęte było jego dementi — jakoby granica Stanów leżała nad Renem. Powiedział zaś — stwierdzają to świadkowie zasługujący na zaufanie — zwłaszcza, że prezydent bynajmniej nie zarzucił im kłamstwa — iż w razie wojny armia francuska stanowić będzie pierwszą linię obronną Stanów Zjednoczonych. Powiedział dalej, że Stany w wypadku wojny popierać będą mocarstwa zachodnie. Powiedział, że ekspansja osi grozi bezpośrednim interesom Stanów. Słowem, zajął jaknajbardziej zdecydowane stanowisko anty-totalistyczne.

Łatwo zrozumieć przyczyny takiego właśnie stanowiska Stanów Zjednoczonych. Czują się one poważnie zagrożone przez trójkąt wojenno - totalistyczny zarówno w Chinach, jak i w Ameryce Południowej. Nie obawiają się one natomiast tego wzrostu sił demokratycznych i socjalistycznych, jaki w Europie w sposób nieuchronny nastąpić musi z chwilą załamania się totalnych tyranii. „Czerwone niebezpieczeństwo" ulubiony straszak berlinternowskiej propagandy, od którego ciarki przechodzą po skórze panów z Imperial Chemical i Royal Dutch, wydaje się na razie mniej groźny trustom amerykańskim od ratującej ład kapitalistyczny ekspansji handlowej Siemensa i AEG, wdzierającej się na tradycyjne rynki zbytu General Electric. To też, gdyby nie wewnątrz-polityczne porachunki reakcji republikańskiej z Rooseveltem, wystąpienie jego spotkałoby się z jednomyślnym poparciem.

I tak zresztą poparcie to było bardzo dobitne. Nawet opozycja republikańska skierowana zostało nie tyle przeciwko samej dostawie samolotów dla Francji i Anglii, co przeciw pewnym szczegółom tych transakcji. Przecież za polityką Roosevelta wypowiedział się sędziwy republikański senator Norris, dotychczas widoma głowa „izolacjonistów", jeden z niewielu, którzy w r. 1917 głosowali przeciw udziałowi Stanów w wojnie światowej. Przecież nawet Hoover w swej mowie — którą nasza prasa hiterowska określiła jako wystąpienie antyroosevelttowskie! — powiedział, że totalizmy europejskie grożą Stanom, co więcej, że Stany Zjednoczone powinny wystąpić zbrojnie przeciwko mocarstwu, które w czasie wojny rozpocznie stosować masowe bombardowanie ludności cywilnej. Roosevelt planowo przeczekał reakcję opinii na pierwsze wersje o jego oświad-

czeniu, by zorientować się, jak dalece społeczeństwo Stanów gotowe jest do porzucenia starych tradycji izolacjonistycznych. Reakcja była niezwykle zadowalająca.

Tuż po dementi prezydenta przyszedł komunikat urzędowy o przyjęciu i natychmiastowym oddaniu do wykonania dalszych zamówień na kilkaset samolotów bojowych dla Anglii i Francji. Trudno o dobitniejszy komentarz do tego dementi...

Monachijczycy a Roosevelt. Z mniejszą na pewno satysfakcją przyjął do wiadomości oświadczenie Roosevelta międzynarodowy obóz monachijski. Wszystko przecież było już gotowe, wszystko układało się jak najpomyślniej. Mr. Chamberlain prawił słodkie słówka Berlinowi i Rzymowi, milcząc dyskretnie o przyjaźni angielsko - francuskiej. P. Bonnet triumfował po upadku Barcelony, zbierał jedno votum zaufania po drugim, klarował w przyjaznych rozmowach dziennikarzom, że te biedne Włochy są doprawdy pokrzywdzone, że dostały tylko parę tysięcy kilometrów piasku, słowem gotował grunt pod nową kapitulację. Il Duce miał przemówić publicznie na zakończenie Gran Consiglio, podyktować warunki pobitej Francji. P. Chamberlain miał umyć ręce a p. Bonnet miał zapytać parlamentu: „Cóż chcecie, bez Anglii wojować nie możemy, Anglia się z nami nie solidaryzuje, czy znowu 3 miliony Francuzów mają umrzeć, by utrzymać pod panowaniem francuskim paręset tysięcy murzynów?". Na poczuciu izolacji Francji, na przygnębieniu narodu francuskiego miało oprzeć się śródziemnomorskie Monachium.

Mowa Roosevelta przekreśliła ten sprytny rachunek. Oczywiście, nie powiedział on nic nowego, ani Mussoliniemu czy Hitlerowi, ani Daladierowi i Chamberlainowi. Kancelarie dyplomatyczne wiedziały doskonale, jakie będzie w razie konfliktu stanowisko Stanów Zjednoczonych. Ale coś nowego powiedział Roosevelt społeczeństwom Zachodu, narodowi francuskiemu przede wszystkim, karmionemu od szeregu miesięcy defetystyczną trucizną kapitulanctwa. Powiedział: „Zaatakowani, nie będziecie sami. Z wami będzie potęga, która rozstrzygnęła los wojny w r. 1918, z wami będą Stany Zjednoczone". Jakże teraz p. Bonnet miał przyjść do parlamentu i mówić o izolacji Francji? Plan nowego Monachium był oparty na koncepcji udanego szantażu. Wystąpienie Roosevelta uniemożliwiło szantaż. Pozostała tylko droga jawnego konfliktu. I właśnie dlatego — tego konfliktu nie ma, a oś wojenna na chwilę śpiewa nieco ciENiej.

Reakcja prasy zagranicznej na wystąpienie Roosevelta jest najlepszym dowodem słuszności naszej analizy. Oczywiście, że prasa osi od „Telegrafo di Livorno" rodziny Ciano — po „Hamburger Fremdenblatt" berlińskiego Auswärtiges Amt, piętnuje Roosevelta jako „żydowskiego wojtka" i jako niebezpieczeństwo dla pokoju światowego. Zachęca on przecież Francję do akcji tak wybitnie antypacyfistycznej jak obrona francuskiej Korsyki, Tunisu czy Dżibuti przed inwazją włoską! Ale rzecz ciekawsza, że francuscy monachijczycy przyjęli deklarację zapewniającą poparcie ich własnej ojczyźnie, z wybitnie kwaśnymi minami. Taki „Temps" np. wyraził przy tej sposobności powątpiewanie, czy Roosevelt za dwa lata wybrany zostanie ponownie prezydentem. A p. Bonnet w parlamencie prosił wyraźnie o nieco więcej dyskrecji w omawianiu przyjaźni amerykańskiej.

Ale te kwaśne miny nie zmieniają bynajmniej faktów. Faktem jest, że wskutek oświadczenia Roosevelta nastroje oporu we Francji wzmogły się potężnie, że nawet p. Chamberlain musiał ostatecznie wykrztusić długo odkładaną deklarację solidarności z Francją. Oczywiście, nie znaczy to, by zmienił linię swej polityki. Zmieni on ją dopiero, gdy straci urząd premiera Wielkiej Brytanii. Ale realizowanie jej przyjdzie mu teraz nieco trudniej.

Mobilizacja przyjaciół osi. Że tak jest w istocie, że linia neomonachijska nie została bynajmniej porzucona, — o tym świadczy szereg mniej głośnych ale zato bardzo charakterystycznych faktów. W misji półoficjalnej bawi w Rzymie dyrektor kolei Dżibuti — Addis Abeba, przyjaciel osobisty p. Ciano, p. Baudoin. Równocześnie p. de Brinon, ten sam, który we wrześniu 1938 r. rozdzielił 350 mil. franków kubanów hitlerowskich prasie paryskiej, rozjeżdża pomiędzy Paryżem a Berlinem, konferuje z Ribbentropem, Bonnetem i Daladierem. Równocześnie w prasie zachodniej pojawiają się znowu długie artykuły o Ukrainie. Obóz Monachium działa więc gorączkowo. Imperial Chemical, Royal Dutch, Midland Bank i Lazard Fréres nie żałują pieniędzy.

Koncepcja jest jasna: statut w Tunisie, port wolnocłowy w Dżibuti, odstąpienie kolei do Addis Abeby, pakietu akcji Kanału Suezkiego. A zato oś ma odwrócić się ponownie w stronę Wschodu, na żyzne pola Rumunii i Ukrainy, możliwie dalekie od terenów Imperium Brytyjskiego. Ale czy oś zadowoli się tym, co teraz, po mowie Roosevelta, może jej ofiarować p. Bonnet? Czy kapitulanci Zachodu będą mogli na swych społeczeństwach wymóc dużo więcej ponad to co już oferują?

Sytuacja jest niejasna. Niewątpliwie, oś podejmie jeszcze szereg prób szantażu — pierwszą taką próbą są mobilizacje częściowe, zapowiadane we Włoszech i Niemczech. Niewątpliwie, monachijczycy Zachodu dalej będą usiłowali siać defetyzm, wywoływać panikę wojenną, grać na ludzkiej małości i tchórzostwie i zbliżać nas w ten sposób krok za krokiem ku nowej, nieuniknionej już, światowej rzezi. Ale powtórzenie Monachium będzie w każdym razie trudniejsze, jeśli w ogóle się uda.

Hiszpania jeszcze się broni. W chwili, gdy te słowa dojdą do czytelnika, będą prawdopodobnie zlikwidowane ostatnie pozycje Republiki na terenie Katalonii. Minorka już została oddana zdradą — przy czynnej pomocy francuskich i angielskich „przyjaciół" — w ręce hiszpańskich waletów włoskiej okupacji. Broni się jeszcze Madryt i Walencja.

Jak długo mogą się jeszcze bronić te, daleko wysunięte naprzód, szańce wolności europejskiej? Pod rozkazami gen. Miaji znajduje się jeszcze ciągle kilkuset tysięczna armia. Stan jej wyżywienia jest lepszy o wiele niż stan armii katalońskiej — żyzne prowincje Levantu pozwalają na zaopatrzenie frontu w żywność o wiele obficiej niż na to pozwalały skały Aragonii i przeludnione okręgi katalońskie. Morale armii centralnej jest dotąd nienaruszone. Ale czy przemysł Saguntu i Walencji pozwoli na zaopatrzenie w amunicję armat i karabinów maszynowych? Przed trudnym, niemal -nadludzko trudnym zadaniem staje gen. Miaja i sztab jego współpracowników.

Madryt wybrany został na nową siedzibę Rządu Republiki. Walka trwać będzie dalej — wbrew tym, którzy unieśli swe głowy do bezpiecznej przystani francuskiej i radziby innych uczynić wspólnikami swej słabości. Tym większe jest zadanie światowej demokracji: trzeba umożliwić obrońcom Madrytu przetrwanie, aż do chwili, gdy w Londynie i Paryżu padną przedstawiciele klik hitlerofilskich.

Fałszywy rachunek Chamberlaina. Oczywiście, zaciskając pętlę na szyi Republiki, p.p. Chamberlain i Daladier nie chcieli ostatecznie zrezygnować z Hiszpanii. Koncepcja City, przejęta dziś przez Daladiera, to przekupienie gen. Franco, to wysadzenie z

siodła Włoch i Niemiec przy pomocy tradycyjnej broni angielskiej: złota. Generał Franco, kalkuluje City, będzie potrzebował bardzo dużo pieniędzy. A pieniądze to jedyna rzecz, której mu nie może zaofiarować oś. Gdy skończy się wojna domowa, wybije godzina Londynu.

Rachuby te oparte są niewątpliwie na pewnych danych realnych. W określonym wyżej kierunku uniezależnienia się od włosko-niemieckiej kurateli działać będzie niewątpliwie wiele czynników wpływowych w obozie rebelii: hierarchia kościelna, inspirowana przez Watykan, stara reakcja monarchistyczna, niechętnie odnosząca się do „nowych prądów" włosko - niemieckich, wpływy dyktatury portugalskiej, wiernej przyjaciółki City. Być może, że gen. Franco doprawdy w razie ostatecznego zwycięstwa widziałby wcale chętnie zmianę swych protektorów. Ale — i to jest jedynie miarodajne — nie chodzi o to, co gen. Franco będzie chciał, tylko o to, co będzie musiał. Rzecz polega na tym, że będzie musiał pozostać na usługach Berlina i Rzymu.

Rząd, narzucony Hiszpanii zbrojną siłą okupacyjnych wojsk włosko - niemieckich, rząd, przed którym uciekały w popłochu wielotysięczne tłumy ludu hiszpańskiego, rząd, mający ręce po łokcie zbryzgane krwią hiszpańską — taki rząd nie może sobie pozwolić na odesłanie do domu swych zagranicznych siepaczy. Potrzeba pieniędzy nie wystarczy do przezwyciężenia tej trudności, zwłaszcza że dzisiaj, jak to wykazuje przykład niemiecko - włoski, można czas jakiś gospodarować bez pieniędzy. Niewątpliwie, są to wszystko zarządzenia na krótką metę, ale któż w Europie patrzy dziś dalej niż na najbliższe miesiące?

Ponoć Ciano na Wielkiej Radzie Faszystowskiej wyjaśnił już w jaki sposób po zakończeniu wojny domowej wycofane zostaną armie włoskie z Hiszpanii. Ich członkowie, za zgodą Rzymu, przyjmą obywatelstwo hiszpańskie, by służyć nowemu rządowi jako siła policyjna i elita wojskowa. Nie będzie więc obywateli włoskich w Hiszpanii. Będą tylko, usadowieni we wszystkich ośrodkach władzy, obywatele hiszpańscy, mówiący po włosku, honorowi członkowie włoskiego stronnictwa faszystowskiego. Hiszpanom „dawnym" pozostawione zostaną prawdopodobnie miejsca dozorców więziennych, woźnych w urzędach, kto wie, może nawet referendarzy na prowincji. No i oczywiście — ministrów, mających na zewnątrz godnie reprezentować „narodową Hiszpanię".

Nie, City nie wyrwie Hiszpanii z włosko - niemieckiej niewoli. Wyrwać ją z niej może jedynie lud hiszpański i solidarność światowej demokracji.

Solidarność włosko-niemiecka

Różni „realiści", robiący w propagandzie berlinternowskiej, z upodobaniem wysuwają w krajach zagrożonych ekspansją niemiecką argument, iż ostatecznie obok Rzeszy w ramach osi znajdują się i Włochy, że kraje, zagrożone przez Niemcy, mogą znaleźć opiekę w Rzymie. Na te ich argumenty odpowiedział kanclerz Hitler w ostatniej swej mowie, w ustępie, którego niestety P. A. T. nie podał do wiadomości prasy polskiej, co następuje:

„Solidarność obu reżymów oparta jest na czymś więcej, niż na egoistycznej celowości. Solidarność ta — to zbawienie Europy. Wiemy dobrze, co czeka Niemcy narodowo-socjalistyczne, gdyby kiedykolwiek którejś z sił międzynarodowych udało się złamać faszystowskie Włochy. Zdajemy sobie sprawę z tych konsekwencji".

Kanclerz Hitler mówi tu wyraźnie: oś oparta jest na solidarności ideologicznej tyranii totalnej, oś to ubezpieczenie wzajemne dyktatorów przed własnymi ludami. I dlatego spekulacje na rozbicie osi, dość rozpowszechnione na Zachodzie i gdzieindziej, skazane są na niepowodzenie.

O panowanie w Europie.

Oś mówi wyraźnie i szczerze, czego chce: rządów w Europie. Napróżno p. Chamberlain kiwa palcem w bucie i parasolem w Izbie Gmin, napróżno grozi: „Nie zniesiemy, by jedno mocarstwo chciało rządzić w Europie". Oto, co mu odpowiada „umiarkowanie" nazistowska „Frankfurter Zeitung":

„Program Europy, to program, ustalony dla Europy przez Adolfa Hitlera w jego mowie z 30 stycznia. Kto może zaprzeczyć, że Niemcom przypadło tu kierownictwo i że Adolf Hitler zdobył je własną siłą i własnym czynem? Kierownictwo polega na tym, że mówi się co ma się stać i pracuje się nad tym, aby to rzeczywiście się stało".

Z tą „własną siłą' to jest niezupełnie dokładnie. Warburgi, Rotszyldy, Samuele, Deterding, „Imperial Chemical", „Lazard Frères" też coś nie coś przyczynili się do tego „kierownictwa". Ale definicja kierownictwa jest wcale słuszna a los Czechosłowacji, Hiszpanii, Austrii przemawia wcale dobitnie za słusznością tezy o kierownictwie, znajdującym się w rękach niemieckich. Pytanie tylko, jak długo jeszcze to kierownictwo utrzyma się w tych rękach.

Konferencja palestyńska.

W powodzi wypadków niemal niespostrzeżenie minęło otwarcie londyńskiej konferencji okrągłego stołu poświęconej sprawie palestyńskiej. Dowiedzieliśmy się co najwyżej, że chodzi o emigrację żydowską i posłuchaliśmy raz jeszcze wiadomych tez w tej sprawie. A tymczasem historia jest o wiele ciekawsza.

Konferencja londyńska, to niezwykle ważna próba osiągnięcia porozumienia brytyjsko - arabskiego. Nie chodzi tu tylko o Palestynę, ale o całość krajów arabskich, mocno ostatnio obrabianych przez agentów osi. Palestyna, gdzie oddziały arabskie znajdują się w tej chwili w stanie otwartej wojny z armią brytyjską, musiała stanowić z natury rzeczy pierwszy przedmiot rozmów. Ale niewątpliwie rozmowy te obejmą zakres o wiele szerszy. Anglicy z pewną nerwowością zanotowali naprzykład mianowanie posła niemieckiego przy dworze Ibn-Sauda, czołowego dotad przedstawiciela kierunku filo-brytyjskiego wśród Beduinów półwyspu arabskiego. Zwłaszcza, że nastąpiło ono właśnie w czasie, kiedy na terenie Saudii odkryto poważne złoża ropy naftowej.

Nie ulega dla nas wątpliwości, że do porozumienia na tej konferencji dojdzie: do porozumienia pomiędzy Anglią a Arabami. Być może, że nie będzie to porozumienie formalne, że formalnie Anglia podyktuje własne warunki, ale uzgodnione przed tym z umiarkowanym skrzydłem Arabów.

Wydaje się nam, że rząd brytyjski — który naogół doprawdy nie cieszy się naszą sympatią — w tej sprawie będzie miał rację. Idzie o wielką rzecz: o to, po czyjej stronie staną, w idącej światowej rozgrywce, ludy Bliskiego Wschodu. Chodzi wszak o to, by stanęły one po stronie krajów demokratycznych.

OD WYDAWNICTWA

Wobec scentralizowania administracji naszego pisma, wszelkie odtąd czynności administracyjne załatwia wyłącznie Administracja w Warszawie, ul. Ordynacka 5, tel. 2-13-90.

Wszelkie wpłaty należy uskuteczniać bądź bezpośrednio w Administracji, bądź przekazywać je na konto P.K.O. 26.630.

Koniec Stojadinowicza. Jeśli konferencja palestyńska pozbawi prawdopodobnie oś atutu arabskiego, to wypadki w Belgradzie pozbawiły ją już atutu drugiego: Jugosławii. Trudno ocenić trwałość rozwoju wypadków w Jugosławii, ale charakter ich jest zupełnie wyraźny.

Odszedł Stojadinowicz, przyjaciel Berlina i Rzymu, przedstawiciel kursu totalistycznego na wewnątrz kraju. Nowy rząd ma za zadanie osiągnięcie porozumienia z opozycją kroacką, demokratyczną, o ile idzie o politykę wewnętrzną, anty - osiową w polityce zagranicznej. Oznacza to wyłamanie Jugosławii z systemu berlińsko - rzymskiego. Nietylko Jugosławii zresztą: i Rumunia mocno zmieniła ton w ostatnich tygodniach. „Polityka oporu" przeważa i w Bukareszcie. Na Południowym Wschodzie zarysowuje się odrodzenie Ententy Bałkańskiej, o orientacji wyraźnie zachodniej i anty - mitteleuropejskiej. Co podziałało w tym kierunku? Wpływy angielskie, mocne w tych krajach, a zaktywizowane ostatnio przez podróże polityków i finansistów brytyjskich? Wiatry z za wschodniej granicy Rumunii, gdzie ostatnio słychać o aktywizacji polityki zagranicznej? Obawa przed zupełnym uzależnieniem się od Niemiec i nieuniknioną katastrofą z chwilą ich porażki? Odstraszający przykład Czechosłowacji? Prawdopodobnie wszystko razem.

Oczywiście, wszystko jest tu jeszcze płynne. Bałkany nie chcą angażować się przedwcześnie (a nuż przyjdzie nowe Monachium?). Rumunia tylko lekko wzmacnia ton. W rządzie Cwetkowicza dla uspokojenia Berlina znalazł się poseł jugosłowiański w Niemczech, wczorajszy zaufany Stojadinowicza, Markowicz. Wszystkie te półfeudalne monarchie bałkańskie mocno boją się własnego ludu i rade by trzymać go w karbach. Księciu regentowi Pawłowi na pewno nie podobały się demonstracje tłumu belgradzkiego, który, po ustąpieniu Stojadinowicza, łączył z radością z tego ustąpienia zgoła niepochlebne okrzyki pod adresem jego zagranicznych protektorów. Ale narazie — oś straciła jednego pionka w grze. Nic dziwnego, że stara się ona umocnić gwałtownie na pozostałych pozycjach.

Prchala Ukrainiec. Te pozostałe pozycje to przede wszystkim Czechosłowacja. Gleischschaltung jej postępuje szybko naprzód. Pierwsze, rzecz jasna, ustawy antysemickie: wykluczono Żydów z adwokatury (zdrajcy Masaryk i Benesz o tym ani nie pomyśleli!). Słowacy, kierowani przez Gauleitera Karmasina, zakazują prasę czeską, skoro odważy się ona kiedyś mile wspomnieć złe czasy „demoliberalizmu", kiedy to słowo Berlina nie było jeszcze rozkazem dla Pragi. P. Beran mówi o wiecznej przyjaźni z Rzeszą. Ale najważniejsze są wypadki na Zakarpaciu.

Ostrzegaliśmy swego czasu przed przecenianiem konfliktu Praga — Huszt. Przewidywaliśmy, że Berlin nie da zrobić krzywdy swym pupilkom. Tak się też stało. Prchala pozostał wprawdzie ministrem „Rusi Karpackiej", ale równocześnie polityka została wołoszynowska. Nie dość na tym — Prchala sam zsolidaryzował się z tą polityką. Podpisał, w imieniu czeskiej Rady Narodowej odezwę, wzywającą do głosowania na listę ks. Wołoszyna i p. Rewaja, jedyną listę legalną, listę agentów Berlina. Ale jak miał nie podpisać tej odezwy, kiedy podobną odezwę wydał już przedtem p. inż. Oldofredi führer (nieistniejącej w rzeczywistości) „mniejszości niemieckiej" na Zakarpaciu, obywatel Rzeszy i mąż zaufania Berlina?

Ewolucja pana Prchali potwierdza jak najdobitniej to , co twierdzimy oddawna: plany ukraińskie Rzeszy nie są wcale przekreślone. Odłożono je tylko na bok na chwilę, do czasu dokonania operacji śródziemnomorskiej. Niech tylko będzie załatwiona sprawa Tunisu, a zobaczymy, jakie życie zapanuje w Huszcie!

Adolf Dygasiński

twórca i wychowawca

Dziwne zaiste losy wielkiego pisarza! Rozległa wiedza, szeroki horyzont umysłowy, etos równający się bohaterstwu, olbrzymi talent, cudowna wnikliwość w sprawy życia, i wszystko to w jakiś niepojęty i szybki sposób rozwiewa sę i znika ze świadomości ogółu. W sinawej mgiełce, gdzieś na krańcu horyzontu pozostał zwiewny kontur serca pełnego miłości i współczucia dla wszelkiego stworzenia łaknącego i pragnącego sprawiedliwości i chleba. Wielki artysta, wielki odkrywca duszy zwierzęcej, która wespół z nami walczy i cierpi.

Ale to było do niedawna ogólnikiem, jakiemś słowem bez pokrycia, twierdzeniem, które trzeba było przyjmować na wiarę, bo z bibliotek znikały pisma tego wielkiego pisarza, a w czytelniach współczesnych nie można było doszukać się ich wcale. A przecież takie rzeczy, jakie przekazał nam Dygasiński, gdzie indziej ukazują się stale w coraz nowych wydaniach, a zmiany zachodzące w życiu dają im coraz nowy aspekt! Niełatwo zrozumieć, że słowo Dygasińskiego, takie bogate, żywe i mocne, dematerializowało się szybko, rozwiewało, aż wreszcie pozostał „czysty duch", imię, dźwięk.

A jednak dość zetknąć się z jednym z aforyzmów Dygasińskiego — wychowawcy i bojownika, aby zrozumieć, że ten znakomity twórca to nie tylko artysta, ale i bojownik — wychowawca, tworzący nie tylko dzieła literackie, ale nowego człowieka. Ta wola prawdy bezwzględnej, która przeniknęła go nawskroś, ukazała mu nie tylko straszliwą ciemnotę umysłów, ale i gorszą od niej ciemnotę serc i sumień: „My się demoralizujemy na różnych polach pracy. Pisujemy niekiedy między liniami. Wytwarzamy oryginalną szkołę obłudy i kłamstwa. Przez to każdy z czasem woli być dwuznacznym niż otwartym. Zachodzi pytanie dosyć poważne, czy mamy się dalej wyrabiać w tym kierunku? Bo jest to kwestia doniosła, czy to, co dziś wydaje kwiaty wątpliwego zapachu, nie wyda z czasem w przyszłości zabójczych, pełnych jadu owoców?... Na sztandarze wypisaliście **nauka**, a w umyśle dźwigacie brzemiona ciemnoty. Na sztandarze czyta się **religia**, a w

PRAWDZIWYM PRZYJACIELEM „EPOKI" JEST TEN, KTO POZYSKAŁ DLA PISMA JEDNEGO PRZYNAJMNIEJ PRENUMERATORA.

sercu widnieje obłuda. Na sztandarze **miłość ziomków** — w głębi robak grubego egoizmu"...

Przesada? Zajrzyjmy do pism Romana Dmowskiego (Upadek myśli konserwatywnej w Polsce, 1914) albo do Stanisława Brzozowskiego (Legenda młodej Polski), a znajdziemy tam te same myśli, niemal te same słowa. Dmowski gromi kult pozorów i obłudy, maskowania się dla pewnych określonych celów, Brzozowski demaskuje sui generis jezuityzm społeczno-polityczny, który stawiając sobie pewne bardzo egoistyczne cele, uświęca każdy środek wiodący do tych celów. Kto zna bezmiar zakłamania naszej reklamy politycznej, ten z głębokim podziwem przeczyta takie znowu słowo Dygasińskiego-wychowawcy: „Publiczność nasza, jak każda publiczność jest zdrowa, zanim zacznie czytać gazety". Już obu przytoczonych aforyzmów Dygasińskiego wystarczy zupełnie, aby zrozumieć jak wielką oddałby nam przysługę ktoś, kto zebrałby przynajmniej jeden duży tom celniejszych artykułów publicystycznych tego znakomitego pisarza.

Dygasiński nie był improwizacją i przypadkiem. Niektórzy historycy konserwatywni utrzymywali że Polska trwoniła niesłychanie wiele sił na przyjmowanie i odrzucanie „nowinek", które były jej rzekomo zupełnie obce i co gorsza: obojętne. Husytyzm, reformacja, reakcja katolicka, oświecenie, romantyzm, to były ruchy, które zdaniem Szujskiego przeobrażały się gdzie indziej w pewne postaci siły. U nas pozostawały na powierzchni życia, wywoływały pewien zamęt i dezorganizację, aby zniknąć i uczynić miejsce nowych ruchom obcym, nie przetrawionym, nie przyswojonym, obojętnym. Skarży się na to trwonienie sił społecznych Stanisław Szczepanowski w poważnej swej pracy „Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych". Zdaniem jego nie można się odgradzać od Europy i wielkich ruchów światowych, ale te ruchy nie mogą być zabawką snobów.Czyliż nie przypominają się tu poważne słowa Dygasińskiego, że„filozof z nad Tamizy może mieć uczniów i adeptów swoich nad Wisłą?"

Wielki nauczyciel Dygasiński był wielkim uczniem i wiernym. Pozytywizm odpowiadał nie tylko jego umysłowi, ale i sercu. Krytycyzm nie pozbawiał go zdolności wiary w możność przeobrażenia świata przez przeobrażenie człowieka. Uczył się więc nie tylko od wielkich pozytywistów, ale i od krytyków pozytywizmu, jak np. od Johna Stuarta Milla (1806—1873), tłumacząc jego **„System of Logic ratiocinative and inductive"**, nie zrażając się tym, że Mill w r. 1865 wydał ostrą krytykę pozytywizmu Comte'a (**„Auguste Comte and positivism"**). Pragnąc poruszyć umysły tłumaczy Maxa Müllera, niemiecko-angielskiego uczonego 1823—1900 — „Religia jako przedmiot umiejętności porównawczej". (**„Einleitung in die vergleichende Religionswissenschaft"**), G. H. Lewesa (1817—1878) „Historię filozofii" (**History of Philosophy from Thales to Comte"**) i Seignobosa „Historię cywilizacji".

Gdy do tej pracy tłumacza dodamy wysiłki na polu pedagogii i dążenia jego w kierunku przeobrażenia człowieka w Polsce, to zrozumiemy dopiero jakie wyjątkowo głębokie i rozległe było przygotowanie Dygasińskiego - artysty. Widział z bardzo bliska skutki klęski ostatniego powstania, skutki polityczne, społeczne i najgorsze ze wszystkich — moralne. Nie mógł powiedzieć tego, co czuje, jak zresztą nikt pod panowaniem cenzury carskiej, a jednak znajdował sposoby na wypowiadanie swych najtajniejszych myśli. Był ostry, wymagający, mówił swoim czytelnikom, że jedyną możliwością porozumienia się z obcą siłą jest własna siła, że kto chce istnieć, musi być silny i bezwzględny.

Śród wielu dobrze znanych rzeczy Dygasińskiego jest niewielka opowieść o Żelu, księciu pomorskim. Miał swoje włości i swoją wiarę pogańską i cenił sobie miły pokój. Gdy Niemcy zaczęli nastawać na niego, „walczył, bronił się, jak mógł; widząc wreszcie, że licznym swym wrogom nie podoła orężem, postanowił zawrzeć przymierze z chytrym i chciwym Drakonem, margrafem niemieckim. — W ogromnych kniejach wyprawiono ogromne łowy, na które zaproszono i margrafa". Dygasiński alegoryzuje. Na łowach zjawia się geniusz pokoju, który mówi, że „wojna jest prawem wyższem, aniżeli pokój". I przepowiada: „Będziecie się wili w cierpieniach, a całem waszem szczęściem będzie złudzenie, że inaczej na świecie być może". Jest na dworze Żela błazen, który zapytany przez gęślarza ile lat pracuje w zawodzie błazna, odpowiada: „Od czasu dojścia do rozumu".. Żel i jego towarzysze są gnuśni i ospali: lubią jeść i pić, nie lubią walczyć. Ale ów Żel rozumuje tak samo jak dzisiaj najwięksi pisarze pacyfistyczni: „Pokonać Niemców jest to przeprowadzić dzieło pokoju, któremu oni jedni stoją na przeszkodzie". Żel ginie ostatecznie a całe Pomorze dostaje się w ręce Niemców.

Symbolika tej opowieści jest wysoce przejrzysta i niekoniecznie regionalna jedynie. Jak Mickiewicz widział losy Polski z perspektywy całej ludzkości, tak Dygasiński widzi je z perspektywy niemal kosmicznej. Najwyższą wartością istnienia jest życie, żywioł i siła pierwotna. Widział, że ci, co dzierżyli władzę w swym ręku, osłabili moralnie i stracili ją, więc spojrzenie swoje zwrócił w stronę chłopa, tego źródła nowych sił, nie znieprawionych jeszcze „czytaniem gazet". Nie łudził się, oczywiście, nie poetyzował, nie stylizował chłopa à la Reymont, owszem widział wady i przywary chłopskie, ale jednocześnie wierzył, że z takich właśnie rodziła się każda krzepka i oryginalna cywilizacja. Miał swoje doświadczenia w tej mierze jako mieszkaniec wsi i jako towarzysz dobrowolny emigrantów polskich, których w latach dziewięćdziesiątych kilkadziesiąt tysięcy poszło za morze po złoto, a tylu znalazło śmierć. Wspaniałych „Pamiętników emigrantów" wydanych właśnie przez „Instytut Gospodarstwa Społecznego" nie zrozumieli byśmy dokładnie bez rewelacyjnych dla dzisiejszego pokolenia „Listów z Brazylii" Dygasińskiego. Wiemy, co jest dzisiaj, Dygasiński widział co było u początku, gdy tysiące chłopów polskich kosiła żółta febra.

Mało który z dawnych pisarzy staje się dla nas tak aktualnym jak Dygasiński, którego pisma zbiorowe zaczynają się właśnie ukazywać w troskliwym opracowaniu nakładem Instytutu Wyd. „Biblioteka Polska". Otrzymamy więc dzieła artystyczne tego znakomitego pisarza obliczone na 35 tomów, a w nich bogaty i żywo interesujący obraz tej niedawnej przeszłości, która jest przesłanką dni dzisiejszych i jutrzejszych. Jeśli literatura jest postacią świadomości zbiorowej a więc realnym wyrazem narodu i jego siły, to Dygasiński jest zdecydowanie jednym z powiększycieli Polski: poszerzył granice świadomości plemiennej, włączył do narodu masy ludowe, wywalczył dla nich indygenat tragicznej współodpowie-

działności za losy zbiorowości, pogłębił perspektywę naszego pojmowania życia. To jest znacznie więcej, niż dałoby się powiedzieć o wielu pisarzach korzystających dziś z nadmiaru popularności.

Dygasiński to jeden z pokolenia Nałkowskich i Świętochowskich. Urodzony w r. 1839 w Niegosławicach nad Nidą, przebijał się przez straszliwe mroki tamtych czasów w świat siły ducha i charakteru, widział nędzę moralną człowieka i wiedział co trzeba czynić, aby znikła, aby w Polsce pojawić się mógł człowiek wolny i mocny. Ale zarazem widział, że Polska żyje w pewnym systemacie sił i że nie może wyłączać się z niego jeśli chce istnieć i rozwijać się zgodnie z prawami rządzącymi światem. Widział owszem ludzi przepadłych, pozbawionych już zupełnie wszystkiego, co daje taką nadzieję awansu społecznego, ale to były wyjątki, wykolejeńcy i cudzoziemcy istnienia. Widział też wyjałowionych „Właścicieli" żyjących z cudzej pracy, ale widział zarazem wyraziście i jasno nowy świat nadchodzący i słowem swoim sprawował dzieło wielkiego prekursora. On pierwszy pokazał nam także duszę w swych niezrównanych obrazach, a chociaż przez bardzo grube nieporozumienie był komentowany dziełem Kiplinga, dzisiaj posiędziemy możność skorygowania tego powierzchownego sądu. Dygasiński nie był żadnym Kiplingiem, był sobą i dawał rzeczy całkowicie swoje, oryginalne, wyprzedzając angielskiego pisarza i pod niejednym względem przewyższając go. Program pism zbiorowych przewiduje przeszło 20 tomów powieści i 12 tomów nowel w opracowaniu Władysława Woltera i z przedmowami Adama Grzymały-Siedleckiego, Stefana Kołaczkowskiego i Kazimierza Simma.

Nie ulega wątpliwości, że po Dygasińskim — artyście przyjdzie kolej na Dygasińskiego — publicystę. Pisarz ten tak niesłusznie zapomniany, godzien jest jak najbardziej wszechstronnego poznania.

P. HULKA-LASKOWSKI.

Z dnia na dzień

SYTUACJA WYJAŚNIA SIĘ

Sprawa politycznej i moralnej normalizacji naszego życia publicznego ani na krok nie ruszyła z martwego punktu od chwili, kiedy w ostatnim zeszycie naszego pisma charakteryzowaliśmy wewnętrznopolityczną sytuację Polski, wymagającą wydobycia i wyswobodzenia wszystkich żywych i twórczych sił społeczeństwa, celem uaktywnienia ich dla naczelnego zadania — obrony narodowej.

Natomiast sytuacja niewątpliwie się wyjaśniła. A to już jest wiele, bardzo wiele, więcej, niż mogłoby się pozornie wydawać. Odpowiedź Ozonu jest zupełnie niedwuznaczna. Umiarkowany, nacechowany powagą i poczuciem odpowiedzialności, ton uchwał Rady Naczelnej Stronnictwa Ludowego najwidoczniej został niewłaściwie zrozumiany w ośrodkach monopartyjno-totalistycznych. Przecież nawet w szeregach demokratycznych i antytotalistycznych przejawiło się tu i ówdzie niezrozumienie prawdziwych intencyj Str. Ludowego — co, być może, również wpłynęło na ton (nie na treść!) ozonowej odpowiedzi.

Nieporozumieniom co do stanowiska ruchu ludowego kładzie kres stwierdzenie „Zielonego Sztandaru", że stanowisko to pozostaje niezmiennie demokratyczne i właśnie dlatego ruch ludowy szczerze i poważnie mógł rzucić hasło rzeczywistej konsolidacji społeczeństwa na zasadach prawa i wolności! Ten sam, całkowicie niedwuznaczny, sens posiada zamieszczony niedawno w „Piaście" artykuł przywódcy Stronnictwa Ludowego.

NIESPODZIANKA?

Ton ozonowej odpowiedzi był dla wielu w Polsce niespodzianką. I właśnie odpowiedź ta, jakże jasna i szczera, musiała otworzyć oczy nawet najnaiwniejszym. Ona ustrzeże ich chyba przed takimi niespodziankami raz na zawsze. Dosadnie lecz trafnie scharakteryzował ją „Zielony Sztandar" — pisząc:

„Ozon odsłonił swoje prawdziwe oblicze! Okazało się rzeczą aż nazbyt jasną, że hasła zjednoczenia narodu potrzebne mu są tylko po to, by tym łatwiej mógł żeglować ku swym monopartyno-totalistycznym celom, że nie dąży on do pojednania i zjednoczenia przez dobrowolne porozumienie, ale do podporządkowania sobie wyłącznie całego życia w państwie. A ponieważ osiągnięcie tego celu nie jest dla Ozonu rzeczą łatwą, gdyż ma on zaledwie drobną część społeczeństwa za sobą, jeśli więc będzie nadal uparcie trwał przy swym obecnym stanowisku, to stanie się on niczym innym tylko największą zawadą na drodze do prawdziwego zjednoczenia.

Sytuacja jest więc jasna."

A „Kurier Polski" pisał na ten sam temat:

„są ludzie, którzy rzetelnego zjednoczenia i pojednania w narodzie wielce pragną, oraz ludzie, którzy się takiego zjednoczenia boją mniej więcej tak, jak przysłowiowy djabeł święconej wody.

Strach przykryty jest maską wywodów „pryncypialnych", jednak przez maskę tę przezierają dość bezceremonialnie obawy o utratę posad, wpływów, znaczenia, przyjemności i rozkoszy.

Chociażby tych które daje kręcenie się w słońcu władzy."

JĘZYK ZJEDNOCZENIA...

Istotnie, zaciekłość, z jaką prasa ozonowa odpowiedziała na uchwały ludowców, przypomina chyba ton używany wobec ruchu ludowego w jesieni 1937 roku. Patriotyczne stanowisko ludowców w polityce zagranicznej określiła „Gazeta Polska" słowami **śmieszność** i **zuchwalstwo,** a partyzant ozonowy „Zaczyn" wystąpił z artykułem, który można scharakteryzować dwoma słowami: bezprzykładna napaść. Organ „totalizmu państwowego" zarzuca mianowicie Str. Ludowemu **„oczywisty bojkot interesów państwowych i racji stanu"**, politykę jego określa jako **„wyraźnie antypaństwową"** i nie cofa się przed takim oskarżeniem: „Stronnictwo Ludowe uważa dywersję wśród Polonii i dywersję wobec polityki zagranicznej rządu za broń dopuszczalną" (zdaniem tego organu ludowcy podburzają Polonię amerykańską przeciw pań-

stwu!). „Zaczyn" kończy swe wywody takim akcentem... pojednania: „Cieszyć się należy, że niejasna i stale zaciemniana sytuacja i próby „dogadania" się z menerami S. L. przecięte zostały negatywną odpowiedzią p. Premiera na interpelacje ks. Lubelskiego. Amnestii nie będzie.

Z ludźmi, wytwarzającymi taką, jak przedstawiliśmy atmosferę, nie można dogadywać się, bo nie mają minimum wyczucia konieczności państwowych, bo mimo pięknych deklamacyj o obronności wyzuci są z instynktu państwowego".

Ma to być odpowiedź księdzu Lubelskiemu, który stwierdził z trybuny sejmowej:

„Ucieczka Witosa za granicę spowodowana była nie obawą przed odbyciem kary wyznaczonej, ale obawą przed podobnym traktowaniem, jakie spotkało go w więzieniu w Brześciu. Tu wchodziła w grę nie tylko jego godność ludzka, jego „honor chłopski", ale godności urzędowe, które w Polsce piastował. I dlatego ucieczka Witosa przed odbyciem kary nie obniżyła jego autorytetu wśród mas chłopskich, ale raczej go wzmogła, wytwarzając w niektórych okolicach formalny kult jego osoby"...

Jednocześnie zaprodukowano społeczeństwu napaść poznańskiego organu OZN, „Nowego Kuriera", na Witosa, pełną inwektyw w rodzaju, że **„słuchał podszeptów międzynarodowej masonerii"** i innych na tym poziomie. (Czytać należy: ks. Lubelski, infułat i przedstawiciel Akcji Katolickiej, tradycyjny, przedwojenny jeszcze przeciwnik Witosa i ruchu ludowego, broni dziś „agenta" międzynarodowej masonerii...).

Takim to językiem „zjednoczenia" przemawia prasa stronnictwa, które wszystkim w Polsce zarzuca sabotaż pracy zjednoczeniowej i jako szkodnika piętnuje każdego, kto przeciwstawia się szalonym pomysłom monopartyjnej totalizacji społeczeństwa!

„BEZRUCH I INERCJA" SPOŁECZEŃSTWA.

Jeżeli można wyciągać ogólniejsze wnioski z ostatnich przejawów, to wygląda tak, że — w tej chwili przynajmniej — bierze w Ozonie górę znowu skrzydło „twardych", dochodzi do głosu kurs totalizmu monopartyjnego. Czołowy ideolog Związku Młodej Polski, były endek prof. Zygmunt Wojciechowski na łamach młodo-ozonowego „Jutra Polski" zupełnie wyraźnie ukazuje perspektywę „zlikwidowania" PPS Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Pracy, i w ogóle ugrupowań demokratycznych, które, zdaniem jego kolegi p. Stahla, żerują na „bezruchu i inercji" społeczeństwa. Tako rzecze p. Stahl w „Gazecie Polskiej". Wniosek? Nie trudno go odgadnąć...

Bo rzeczywiście „bezruch i inercja" społeczeństwa polskiego przejawiają się ostatnio w sposób budzący szczery niepokój w ośrodkach monopartyjnego totalizmu. „Zielony Sztandar" podał nie dawno wyniki wyborów na wsi w niektórych powiatach woj. kieleckiego. Nie obejmują one wszystkich gromad wzgl. gmin danego powiatu, tylko po kilka, kilkanaście, ilustrują jednak wymownie nastroje polityczne wsi polskiej. Oto niektóre dane:

Powiat Kielce: Ludowcy 506, Ozon 28, endecy 20, dzicy 123.

Pow. Częstochowa: Ludowcy 155, Ozon 17, dzicy 98, PPS 2.

Pow. Zawiercie: Ludowcy 274, Ozon 28, endecy 2, dzicy 94, PPS 10.

Pow. Miechów (gm. Racławice): Ludowcy 144, dzicy 32.

Pow. Pińczów: Ludowcy 149, Ozon 10, endecy 2, dzicy 19.

Pow. Opoczno: Ludowcy 213, Ozon 8, dzicy 14.

Pow. Stopnica: Ludowcy 397, Ozon 14, dzicy 77.

Pow Jędrzejów: Ludowcy 462, Ozon 41, endecy 6, dzicy 123.

Ogółem w 206 wsiach wojew. kieleckiego na 3068 wybranych radnych gromadzkich jest 2300 ludowców, 508 dzikich, 146 ozonowców, 30 endeków i 12 socjalistów.

A potem przemówiła Gdynia, chluba odrodzonej Polski. Wybrała do rady miejskiej 15 kandydatów z list PPS, 12 endeków i... 5 ozonowców!

Nic dziwnego, że endo-sanacyjny ideolog Ozonu skarży się na „bezruch i inercję" społeczeństwa. Rozumie p. Stahl doskonale, że społeczeństwo, które takim głosem przemawia w wyborach samorządowych, nie da się stotalizować przymusowo pod komendą i dla korzyści jednej partii — jakże bardzo „popularnej" w całym kraju!

Bardzo ciekawy wypadek zdarzył się ostatnio w dalekim Przeworsku — wypadek, doskonale malujący, „bezruch i inercję" naszego społeczeństwa. Niejaki Pieniążek, swego czasu ludowiec, wydalony ze Stronnictwa za szkodliwą, sprzeczną z ideałami demokracji, politykę — i zaraz potem „wybrany" już jako sanator do Sejmu — kandydował w Przeworsku do rady miejskiej. Oczywiście z listy Ozonu, do którego polazł po wykluczeniu z szeregów ludowych. I cóż się okazało? Pan Pieniążek przepadł w wyborach samorządowych; choć miał drugie miejsce na liście, otrzymał najmniejszą liczbę głosów. Przepadł na tym samym terenie, który kilka tygodni wcześniej „wybrał" go do Sejmu!

Bezruch i inercja...

PRZECIWIEŃSTWA POZOSTAJĄ

Jeżeli jednak w oficjalnej prasie ozonowej donośnie rozbrzmiewa ton monopartyjnego nieprzejednania nie tylko wobec demokracji ale nawet wobec koncepcji „luźniejszego" totalizmu — to już sam publicystyczny, literacki charakter tych enunciacyj zdawałby się wskazywać raczej na dalsze trwanie obecnego prowizorium, ucieleśnionego w rządzie gen. Składkowskiego.

Nie przeczy temu doniosły i brzemienny w następstwa fakt zmiany statutu Banku Polskiego. Wprawdzie „psychologizacja" naszej polityki emisyjnej, przesunięcie jej punktu ciężkości z realnego, złotego pokrycia na moment raczej natury emocjonalnej (zaufanie), niedwuznacznie, „dynamiczna" interpretacja nadana faktowi temu przez „Gazetę Polską" w triumfalnym artykule redakcyjnym, wyraźne zakłopotanie „Kuriera Polskiego", który w gospodarczej, i nie tylko gospodarczej, polityce p. wicepremiera upatrywał dotąd główną zaporę przeciw monopartyjno - totalnym planom sztabu ozonowego — wszystko to na pierwszy rzut oka mogłoby świadczyć o stanowczym sukcesie ośrodków reprezentowanych przez płk. Wendę.

A jednak wniosek taki, przynajmniej w tej chwili, byłby zbyt pochopny. Jeżeli nawet twierdzenie „Kuriera Polskiego" o zmianie zasad naszej polityki emisyjnej, że „nie są to jednak rozmiary przewidziane przez biuro planowania Ozonu" — potraktować wypada jako t. zw. dobrą minę do złej gry, to mimo wszystko wydaje się raczej, że praktyka emisyjna w najbliższej przyszłości i nadal pozostanie wypadkową realnego układu sił w stronnictwie rządzącym, w którym zespół p. Wendy bynajmniej nie może, jak dotąd, uchodzić za zwycięzcę. Świadczy o tym chociażby kontrowersja między p. wicepremierem a „dynamistami" spod znaku p. Wendy

podczas debaty budżetowej w Sejmie. Nowe zasady emisyjne, to dopiero otwarcie możliwości, upoważnienie do wejścia na drogę „dynimazmu" emisyjnego. Ale i w tych nowych ramach pozostają dotychczasowe przeciwieństwa.

OZON SKARCONY.

I dlatego monopartyjny ton prasy ozonowej sam przez się nie upoważnia jeszcze do przypuszczenia, że koncepcja szerszej, wszech-nacjonalistycznej, t. zw. katolicko-narodowej koncentracji przeciw obozowi demokratycznemu straciła na aktualności. Koncepcja ta, wiązana powszechnie z osobą p. wicepremiera, a zmierzająca do odświeżenia obozu rządowego przez przyciągnięcie opozycyjnych odłamów prawicowych i antydemokratycznych bez zasadniczej zmiany systemu, podtrzymywana jest w dalszym ciągu przez bardzo wpływowe czynniki polityczne i gospodarcze. Rozumieją one, jak ogromne ryzyko przedstawiałby dla nich totalizm realizowany monopolistycznie przez ugrupowanie tak mało popularne w społeczeństwie, jak Ozon. Dlatego nieprzejednany ton prasy ozonowej budzi wśród nich szczery niepokój. Jak nie dawno pod adresem Stronnictwa Narodowego, tak teraz pod adresem Ozonu padają ostre wymówki i zarzuty partyjnego ekskluzywizmu. Posłuchajmy:

„...znamienne, patriotyzmem przejęte uchwały Rady Naczelnej Stronnictwa Ludowego stały się niestety dla pewnych **partyjnictwem zaślepionych** czynników jedynie odskocznią do nowych zadrażnień oraz inwektyw, płynących z zatrutego źródła nienawiści, zemsty i totalistycznych utopii. Te właśnie utopie **partyjnych sztabów** należy jak najsurowiej piętnować, by przez **presję idącą od dołu** torować drogę zjednoczeniu całego narodu".

Któż to tak ostro i trafnie charakteryzuje ozonową „odpowiedź" na uchwały ludowców? „Piast", „Robotnik" czy „Polonia"? Uchowaj Boże! Przytoczyliśmy słowa ks. Kosibowicza, który tym razem, w lutowym zeszycie „Przeglądu Powszechnego", poświęca swoją stałą rubrykę zagadnieniu zmiany ordynacji wyborczej, przyznając, że jest ona niezbędnym warunkiem wstępnym normalizacji naszego życia politycznego. Ks. Kosibowicz, od dawna energicznie sekundujący p. wicepremierowi, oczywiście i nadal ma na myśli sapieżyńską, antydemokratyczną konsolidację wszystkich żywiołów prawicowych, które zgodnie z terminologią Akcji Katolickiej ciągle jeszcze nazywa narodowymi i katolickimi. Na to nie ma rady. Ale takie stanowisko polityczne pociąga za sobą nieuchronne konsekwencje, o ile idzie o kierunek reformy wyborczej. Publicysta jezuicki chciałby oczywiście tę antydemokratyczną konsolidację oprzeć na bardziej masowej podstawie — bo inaczej czymże różniłaby się ona od sanacyjnego systemu, z którego wyszedł ozonowy Sejm i Senat? Ale wzdraga się przed reformą w duchu rzetelnie demokratycznym, zastrzega się, że nie myśli wcale o systemie „partyjnym", kategorycznie odrzuca możliwość stawiania kandydatur przez stronnictwo polityczne!

Od wydawnictwa

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY, PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOSCI.

KTÓRĘDY DROGA?

I na tym właśnie polega niewątpliwie antydemokratyczny sens tego rozwiązania, które proponują w tej chwili sfery klerykalne. **Jakaś** zmiana ordynacji wyborczej zapewne będzie **kiedyś** dokonana przez obóz rządzący — przez te czy inne jego czynniki. Ale wszystkie znaki na ziemi i na niebie wskazują na to, że zmiana ta w żadnym wypadku nie miałaby pójść w kierunku istotnie demokratycznym. Systemów, precyzyjnie „neutralizujących" wolę społeczeństwa, jest przecież bez liku. Fantazja reakcyjnego ustawodawstwa jest pod tym względem niewyczerpana! Nie tylko p. Sławek miał „pomysły". Istnieje jeszcze niezmierzone bogactwo systemów korporacyjnych, kurialnych, cenzusowych w najrozmaitszych kombinacjach, plebiscytarnych i licho wie jakich — a wszystkie zmierzają do tego samego celu: do sfałszowania rzeczywistego obrazu nastrojów społeczeństwa. Czy o to chodzi? Czy po to trzeba organizować ‚presję idącą od dołu?". Czy w imię tego właśnie szczytnego celu apeluje ks. Kosibowicz **„do najwyższej instancji sumienia posłów oraz senatorów?".**

Nie tędy jednak prowadzi droga do rzeczywistej, gruntownej normalizacji naszego życia politycznego! Drogę tę wskazuje od dawna obóz demokratyczny — ten sam, któremu „Przegląd Powszechny" chce przeciwstawić bojową konfederację całego wstecznictwa.

BIBLIA OCENZUROWANA

Rząd Anhaltu (Niemcy środkowe) usunął z programu nauki religii w szkołach cały Stary Testament łącznie z psalmami i księgami proroków oraz całą spuściznę św. Pawła. Jako trujące produkty żydowskiego ducha te części pisma św. mogłyby przecież wywrzeć jaknajbardziej zgubny wpływ na młodzież niemiecką, która powinna być wychowana wedle prawdziwie narodowych, rdzennie germańskich wzorów, stworzonych przez proroków hitlerowskiej „nauki". Decyzja rządu anhalckiego jest zupełnie logiczną konsekwencją rasizmu i antysemityzmu.

NA WĘGRZECH TAKŻE

Rząd pp. Imredy'ego i Csaky'ego bez zastrzeżeń podporządkował się polityce faszystowskiej osi, będącej narzędziem wszechniemieckiego imperializmu. Zięć Mussoliniego hr. Ciano w czasie swej niedawnej wizyty w Budapeszcie wystąpił jako jawny komiwojażer Hitlera i przedstawił rządowi węgierskiemu polityczne żądania Trzeciej Rzeszy, które pp. Imredy i Csaky posłusznie przyjęli, zwłaszcza że poproszono ich o to bardzo wymownie szrapnelami miotanymi z czeskich armat na Mukaczewo.

Jak wiadomo, na terenie wewnętrzno-politycznym to ukorzenie się przed Berlinem zadokumentowane zostało zaostrzeniem kursu antysemickiego. Wydane przez p. Imredy'ego ustawy przeciwżydowskie zbliżają się już do wzorów norymberskich.

Teraz kolej na obóz katolicki. Są już pierwsze jaskółki. Czołowy organ katolicki, tygodnik „Korunk Szava" przestał się ukazywać, gdyż odmówiono mu koncesji wymaganej przez nową, kagańcową ustawę prasową. Pismo to, redagowane ściśle w myśl zasad katolickich, energicznie zwalczało m. in. rasizm i prześladowanie Żydów i cieszyło się wyrażonym niejednokrotnie uznaniem ze strony najwyższych czynników kościelnych.

Nic więc dziwnego, że dla takiego katolickiego pisma nie ma już miejsca pod hitlerowskimi rządami p. Imredy'ego.

Demokracja polska zawsze walczyła i walczy obecnie o przyszłość Polski

Christian Lange

W siedzibie swojej pod Oslo zmarł w dniu 11 grudnia 1938 r. Christian Lange. Parlamentarzystom polskim, którzy w dawniejszych latach uczestniczyli w dorocznych kongresach Unii Międzyparlamentarnej, dobrze znaną była wyniosła postać jej generalnego Sekretarza. Trudno było oprzeć się urokowi tego skandynawskiego Wikinga, o szlachetnych rysach, jakby rzeźbionych w marmurze i przenikliwym spojrzeniu jasnych, siwych oczu, trudno było nie ulec czarowi jego obejścia, nacechowanego wysoką kulturą, opanowaniem i kurtuazją. Wieść o jego zgonie wskrzesi w pamięci tych, co go znali, wspomnienie tej pięknej postaci, a w sercach szczerych demokratów wzbudzi uczucie głębokiego żalu.

Christian Lange urodził się w r. 1869. Ukończywszy studia na uniwersytecie w Christianii poświęcił się pracy pedagogicznej. Z tego okresu swego życia wyniósł na zawsze przeświadczenie, że ciemnota i niewiedza leżą u źródeł wszelkiego zła i dlatego naród oświecony jest narodem wolnym. Lange wcześnie poświęcił się działalności politycznej, oddając swe niepośledne zdolności w służbę wielkim ideom demokracji, pokoju i postępu społecznego.

Na przełomie dwu stuleci Lange skłania się coraz bardziej ku działalności na terenie szerszym, międzynarodowym; organizuje w Chistianii IX kolei konferencję międzyparlamentarną, obejmuje generalny Sekretariat norweskiego komitetu pokojowej nagrody Nobla i zwraca na siebie powszechną uwagę zarówno rozległością swych horyzontów umysłowych, jak i znakomitymi zdolnościami administracyjnymi. Tym przymiotom, jak również swemu wysokiemu poczuciu taktu i świetnej znajomości języków, zawdzięcza Lange objęcie w 1909 r. Sekretariatu generalnego Unii Międzyparlamentarnej. Na tym stanowisku przetrwał do r. 1933, czyli dwadzieścia cztery lata, a w ich liczbie krytyczne dla Unii lata wojny. Dziełu zbliżenia narodów, realizacji haseł i założeń Unii poświęca się Lange całkowicie. Prowadzi studia nad utworzeniem międzynarodowego trybunału sprawiedliwości, popiera postanowienia II Konferencji Pokojowej w Hadze i starania o ich ratyfikację przez parlamenty poszczególnych państw, nawołuje — już wówczas — do ograniczenia zbrojeń, współdziała z każdym wysiłkiem dla zabezpieczenia prymatu prawa i arbitrażu nad przemocą, przygotowuje III Konferencję Pokojową w Hadze, która przewidziana jest na rok 1915.

Te przygotowania do światowej demonstracji na rzecz pokoju przerywa jakby na ironię — wybuch wojny w 1914 r.

Lange nie opuszcza rąk. Po bezowocnych wysiłkach uratowania pokoju bodaj w ostatnich chwilach — Lange nie rezygnuje, lecz podejmuje prace nad przyśpieszeniem pokoju i oparciem go na podstawach, któreby mu zapewniły większą trwałość. Przenosi agendy Unii Międzyparlamentarnej do Norwegii i stąd — skupiwszy dokoła siebie ludzi dobrej woli — prowadzi żywym słowem, piórem i czynem akcję na rzecz pokoju. Naprzekór szalejącej wojnie ożywia dawne i tworzy nowe organizacje pokojowe i do wydanej w 1913 r. książki o przymusowym rozjemstwie dorzuca nową cenną rozprawę o rozwoju idei pokoju i o organizacji konferencji pokojowej.

Z końcem wojny Unia Międzyparlamentarna znajduje się w stanie niemal zupełnego rozbicia. Lange podejmuje dzieło jej odbudowy. Natrafia na silne opory, nie opadły bowiem jeszcze rozkołysane wrogie namiętności i w niektórych krajach za złe miano Sekretarzowi Unii, że w żadnej enuncjacji publicznej nie potępił jaskrawych pogwałceń prawa, jakich dopuściły się Niemcy. Lange nie chciał jednak czczymi manifestacjami utrudniać późniejszej współpracy zwycięzców ze zwyciężonymi. Powstanie Ligi Narodów stawiało również pod znakiem zapytania celowość dalszego istnienia Unii Międzyparlamentarnej. Lange nie podziela tego poglądu, zakreśla Unii inne cele i zadania i udaje się na pielgrzymkę po Europie w celu wskrzeszenia współpracy międzyparlamentarnej.

W 1921 r. zjawia się i w Warszawie, gdzie doprowadza do zawiązania się licznej i wpływowej w swoim czasie Polskiej Grupy Unii Międzyparlamentarnej pod przewodnictwem prof. Dembińskiego. Wysiłki generalnego Sekretarza uwieńczone zostają powodzeniem. Unia po wojnie budzi się do nowego, tym intensywniejszego życia, zasilona przypływem młodych sił, z państw nowopowstałych, staje się siostrzycą Ligi Narodów i jakgdyby jej przednia strażą. Tu zwykle poddane zostają pierwszej, jakgdyby próbnej i nieobowiązującej dyskusji, idee, zagadnienia i sprawy, co do których państwa zajmą dopiero oficjalne stanowisko na sesji Ligi.

Zagadnienie przymusowego rozjemstwa pomiędzy państwami, sprawa rozbrojenia, problem mniejszości narodowych, a wkrótce i zarysowujący sie już kryzys parlamentaryzmu — oto punkty newralgiczne powojennej Europy, na których skupia się uwaga Unii. One to, obok wielu spraw stosunkowo mniejszej doniosłości, stają się przedmiotem obrad corocznych plenarnych kongresów Unii i studiów jej komisyj. Chrystian Lange jest duszą tej pracy, podjętej w skali światowej.

Ale świat gotuje mu okrutną niespodziankę. Z roku na rok odwraca się coraz bardziej od idei pokoju, humanitaryzmu, demokracji. Huragan nowych (czyżby nowych?) przeciwnych idei dmie z coraz większą gwałtownością, burząc wieloletnią pracę Christiana Langego. Współpraca międzynarodowa zanika, rozwiewa się autorytet Ligi i Unii,

---

Sami reakcjoniści, zwłaszcza literaci na służbie reakcji, często okrywają się śmiesznością przez zbytnią gorliwość, przez przebranie dozy mikstury reakcyjnej lub wskutek usiłowań obrony za pomocą zbyt grubych, rażących wykrętów.

WACŁAW NAŁKOWSKI

demokracja jest łżona. Totalistyczne kozy skaczą na pochyłe drzewa. W r. 1933 Chystian Lange usuwa się w zacisze domowe. Na schyłku życia patrzy na pozorny upadek wszystkich wielkich idei, którym to życie poświęcił. Wie, że nie ujrzy już marzeń swoich ubranych w kształt rezczywistości. Ale wie także, że są prawdy i wartości trwalsze od przejściowej demencji, czy koniunkturalnej mody. On, laureat pokojowej nagrody Nobla w 1921, nie odstąpi od swych ideałów, ani też nikomu nie da się zastraszyć. Oddaje się swoim pracom w międzynarodowej Unii pomocy dzieciom, w fundacji Carnegiego, reprezentuje swą ojczyznę w Lidze Narodów, najwięcej jednak czasu poświęca wykańczając jakby gorączkowo i jakby naprzekór współczesności kapitalne dzieło swego życia „L'Histoire de l'Internationalisme", którego tom pierwszy ukazał się jeszcze w r. 1919. Zbliża się kres.

Gasnącymi oczami ze smutkiem ogarnia świat, wstrząsany konwulsjami, ale — odchodząc — w głębokiej mądrości, zdobytej przemyśleniem i doświadczeniami długiego życia czerpie tę pewność, którą Polak wyraziłby słowami swego poety: „Moje będzie za grobem zwycięstwo!".

STANISŁAW CZOSNOWSKI

Artyzm Poli Gojawiczyńskiej

TRZY POWIEŚCI

Wbrew utartym sądom niektórych krytyków — realistyczny talent pisarski Gojawiczyńskiej ujawnił się nie w „Dziewczętach z Nowolipek", i nie w „Ziemi Elżbiety", ale w „Rajskiej jabłoni". Cokolwiek by się mówiło o „Dziewczętach", trzeba przede wszystkim z całym naciskiem podkreślić, że realizm ich odbiegł daleko od definicji „nowego realizmu", realizmu, nie zdeformowanego jednostronnym oświetleniem liryczno-sentymentalnym czy „agitkowym". Jeśli więc idzie o „Dziewczęta z Nowolipek" modelowała je Gojawiczyńska a priori nierealistycznie, dając im za podstawę życiową taki m. in. atrybut irracjonalizmu jak np. — fatalizm! To też ich bezsprzeczne bohaterstwo życiowe (zresztą przypadkowe), wszystkie perypetie uczuciowe i postulowany tragizm — mimo widocznych usiłowań autorki — nie trafiają do czytelnika. W konsekwencji stały się „Dziewczęta", przypuszczalnie niezamierzenie, wielką stylizacją wywodzącą się wprost ze szkoły „Chłopów", zresztą jak i u Reymonta uwarunkowaną ideowo błędnym „osadzeniem" bohaterów. I Gojawiczyńska umieściła swoje bohaterki, dzieci, dojrzałego przecież czasu wojny, mieszczaństwa i proletariatu miejskiego, za parkanem chroniącym od wszelkich społecznych i politycznych przeciągów. W tym kontekście — napisany z bezsprzecznie głębokim oddechem końcowy wydźwięk wojenno-niepodległościowy, wydźwięk rozsadzający wreszcie ponure ramy zatęchłego podwórka — robi wrażenie czegoś sztucznie przyczepionego, konwencjonalnego. Zwycięski amarant odradzającego się życia polskiego „gryzł" się z beznadzieją, pustką i szarością atmosfery „Dziewcząt", z powierzaniem ich bytu „losowi", groźnemu, niewytłumaczalnemu a wszechpotężnemu fatum — force fatale! I te właśnie elementy postawy artystycznej i ideowej, wywołujące niekiedy wrażenie maniery pisarskiej, były w twórczości Gojawiczyńskiej najbardziej niepokojące.

W „Ziemi Elżbiety" autorka wyprowadziła swoją bohaterkę na szersze nieco wody społeczne, w atmosferę „gorętszą", gdzie splot przeżyć kameralnych łączył się i kluczył dokoła spraw ogólnych, doniosłych. Ale Elżbieta, uwikłana bez reszty w skomplikowanych doznaniach miłosnych — pozostała, mimo pewnych aluzji społecznych, życiowym somnabulikiem, wahającym się nad przepaścią, równie wysoko jak nieświadomie. Niezależnie od tego sugerowała Gojawiczyńska często w swych utworach pewną niczym nie umotywowaną (opartą tylko na przesłankach czysto biologicznych) — „anielskość" kobiety — męczennicy, systematycznie prześladowanej przez mężczyznę—demona. Ten uproszczony schemat życiowy, daleki bardzo od realizmu, robił wrażenie przemożnej naiwności i... kobiecości.

Dopiero trzecia z kolei powieść — „Rajska jabłoń" — wykazała w pełni dyspozycje realistyczne Gojawiczyńskiej. Umieszczenie bohaterów na „prawdziwej" glebie życiowej spowodowało automatyczne jakby „zmądrzenie" dziewcząt z Nowolipek, tych, do wczoraj — ideowo, moralnie i umysłowo — gąsek. Nie, to nie tylko kalendarzowe starzenie się Kwiryny czy Bronki wyzwoliło ich mądrość i praktyczność życiową. To raczej przemyślenie autorskie, to świadomość niepełności poprzedniego obrazu, to udoskonalenie rzemiosła pisarskiego wreszcie — nadały rumieńców znanym nam postaciom, jakże teraz żywym, zdrowym i pociągającym.

„Rajska jabłoń", mimo iż formalne kreowanie postaci odbywało się jeszcze nadal pod przemożnym wpływem obsesji — pozwalała przypuszczać że pisarka wzięła dobry start, że natrafiła wreszcie na odpowiednio bogate pokłady twórczości.

Nie łatwy to był jednak krok dla Gojawiczyńskiej. Przejście od apoteozy duszy kobiecej do zgłębienia i zrozumienia psychiki mężczyzny, skok ten wymagał przełamania pewnych nałogów myślowych, wygodnych i łatwych tłumaczeń, słowem — wyzbycia się przyzwyczajeń, często jakże trudnych do odrzucenia. Dążność do przezwyciężenia ciążącego kompleksu ujawniła się już w niektórych rysunkach „Rajskiej jabloni" (np. ujmująca postać Romana, męża wspaniałej Kwiryny). Po

tej, nowej i nieznanej, drodze krocząc — nieomylna intuicja pisarki zaprowadziła ją do doskonałego w każdym rysie portretu Piotra Witkosza, bohatera „Słupów ognistych".

HOMO CONIUNCTURALIS

Ostre zakręty historyczne, potężne wstrząsy dziejowe — wojny i rewolucje — niosły w sobie zawsze zarodki podstawowych przemian gospodarczych, socjalnych i psychicznych. A nowe czasy tworzą nowego człowieka. Są to czasy wypływania na powierzchnię życia, obok wypróbowanych bohaterów, ludzi miernych, chciwych i zdegenerowanych, wyniesionych li tylko na fali sprzyjających okoliczności, dogodnej koniunktury.

Wojna światowa odbiła się w literaturze polskiej echem zaledwie podobnym do reszty świata. Rzecz zrozumiała: pisarza polskiego pociągał problem znacznie bliższy, dużo bardziej fascynujący — niepodległość! Ale rzeczą charakterystyczną jest to, że nowa literatura polska, mimo wszechstronnego oświetlenia życia odrodzonego państwa, mało stosunkowo miejsca poświęciła narodzinom nowego „człowieka wojennego", wygodnego „żołnierza tyłów", tego homo coniuncturalis zrodzonego z anormalności i wraz z nią na ogół znikającego. Nie jest to tylko kwestia ciekawego, skądinąd, studium charakterologicznego jednostki. Czasu wojny, i bezpośrednio po niej, była to **plaga społeczna** w pełnym znaczeniu tego słowa, epidemia panująca we wszystkich krajach, zaś w Polsce niepodległej, ze zrozumiałych powodów specjalnie niebezpieczna.

W „Słupach ognistych" Gojawiczyńska postawiła sobie za zadanie zobrazowanie tych właśnie doniosłych dla młodego państwa spraw pod kątem jaknajwiększym, dogłębnie, uchwycenie ich sensu niejako in statu nascendi. Dla przeprowadzenia tak dużego zadania nie wystarczy oczywiście tylko t. zw. talent pisarski. Zjawisko społeczne tej miary i o tak dużym ciężarze gatunkowym, domagało się **głębokiego przemyślenia** problemu, żądało znajomości „tajników" procesów społecznych. I tu, trzeba to stwierdzić, Gojawiczyńska w sposób zadziwiająco trafny przejrzała zagadnienie. Szczęśliwa **intuicja społeczna** skierowała pisarkę na prawdziwie odkrywczą drogę, prowadzącą do zrozumienia nowej prawdy o nowym człowieku. I tym razem nie uniknęła jednak Gojawiczyńska potknięć ideologicznych. Trudno nie zgodzić się z pisarką w sprawach dotyczących **ściśle gabinetowego działania** człowieka, jego pobudek psychicznych czy nawet moralnych. Nie sposób jednak przyznać racji założeniom, z których wynika, że promotorem poczynań ogólnych jest mglisty, niedomówiony zresztą, atawizm i t. zw. „zew krwi". W tym wypadku intuicja odkrywcza zawiodła.

W ujęciu jednak zasadniczym — w ostatniej powieści Gojawiczyńskiej życiem ludzkim przestał już „kierować" wszechpotężny LOS (sensu stricto metafizyki); mechanizm ruchów społecznych i narodowych nie zasadza się już na przypadkowości, nie działają już nań iksy. Wzrost uświadomienia pisarskiego podyktował konieczność **częściowego przynajmniej powiązania spraw jednostki z rozwojem ogólno-społecznym,** ukazując w ten sposób Gojawiczyńskiej nowe horyzonty poznania. Prawda bezsporna: dumny współczesny indywidualista jest tylko **częścią** wielkiej machiny społecznej, **ściśle zależną od jej fluktacji albo stałości.**

SYMBOLIKA PIOTRA WITKOSZA

Kariera życiowa Piotra Witkosza, niezrozumiała i, zdawałoby się, jedyna — posiada w sobie wszystkie elementy typowych karier „ludzi wojny", którzy z frazesem patriotycznym na ustach łupili bezkarnie, pasożytowali cynicznie na organizmach społeczeństw, krocząc do swego podłego celu z uporem maniaków, po przez cierpienia, ból i śmierć nawet najbliższych. Prawda: indywidualne rysy charakteru odgrywają w takich wypadkach rolę dość dużą. Nie należy jednak przypisywać im roli nadrzędnej. Są to raczej momenty wtórne tego zjawiska. Tak też jest z Piotrem.

Kilkunastodniowy chłopak znaleziony w lesie przez bezdzietne małżeństwo fornalskie, Łukasza i Rozalię Witkoszów, — miał niejako odrazu przypisane szczęście: zainteresowała się nim bowiem sama dziedziczka Rzeczek Wiejskich! Żółta moneta, rzucona przez któregoś z „panów" na pieluszki znajdka — oto symbol późniejszej kariery życiowej Piotra: Pieniądz! I tak też przez czterdzieści zgórą lat będzie Piotr wspinał się po drabinie życiowej, coraz wyżej i wyżej, by wreszcie, gdzieś tam na bardzo wysokim już szczeblu, załamać się i stoczyć się wdół, coraz niżej i niżej, opuszczony i zapomniany przez wszystkich...

Śledząc, jakże wyjątkowo intensywne i namiętnie chłodne życie Witkosza, czujemy przecież przez cały czas, że musi dojść do katastrofy. Bo życie Piotra było od początku do końca wewnętrznie nieszczere, zewnętrznie zakłamane i cyniczne. Nieliczne wstrząsy moralne (np. przeżycia podczas przedstawienia „Nocy Listopadowej") zjawią się albo za późno, albo za wcześnie, w każdym razie pozostaną bez głębszego śladu w sercu „szczęściarza". A mimo to jest Piotr ludzko tragiczny. Tragizm jego nie leży jednak w bezwiednym, fatalistycznym niejako dążeniu do własnej zguby. Piotr uświadamiał sobie bowiem niekiedy, że balansuje nad samą przepaścią, że kwestia kolizji jego czynów z kodeksem karnym i moralnym sprowadza się właściwie do codziennej, samooszukańczej interpretacji: ostatecznie „wszyscy dziś smarują"... Tragizm Piotra tkwi jedynie we własnej, naiwnej i szczerej wierze—niewinności! „Piotr nie miał poczucia winy, był niewinny!" Wiemy, że tak w istocie jest. Witkosze byli bowiem zawsze i są wytworem anormalnych warunków i w ostatecznym obrachunku stają się sami ich ofiarami. Znajdek, Piotr — wsiowy cieśla, potem społecznik, przedsiębiorca budowlany, „pan inżynier", spekulant, wielki kupiec,

Zwycięstwo demokracji to nie tylko realizacja potrzeb dnia dzisiejszego — to tryumf haseł jakie przez wieki jednoczyły najlepsze siły do walki o niepodległość narodu i wolność człowieka, walki o sprawiedliwość społeczną. Istnieje nieprzerwana i zawsze żywa więź między każdym dniem zmagania się sił społecznych wczoraj i dziś.

przemysłowiec — te elementy prawdy i kłamstwa — to wytwór określonych („szczęśliwych", jak mniemali wszyscy) warunków obiektywnych i Piotr sam najmniej przyczynił się do ich zaistnienia. Wielkiego fałszerstwa na Piotrze dokonali przede wszystkim ci, którzy jego wielkości i miru potrzebowali. Piotr sam, urzeczony powodzeniem, pozostawał pod sugestią obcego kłamstwa. Trzeba będzie dopiero katastrofy, by sobie uświadomił bolesną prawdę: jestem niczym!

Przecież te jego forsytowskie skłonności posiadacza (względem ludzi i pieniądza) zrodziły się nie w domu Łukasza i Rozalii. Dopiero później, znacznie później zacznie się podstawowy pęd Piotra do Molocha, dopiero później zasmakuje w zwodniczo słodkiej truciźnie, w demoralizującym poczuciu potęgi pieniądza. Jakżeż bo inaczej zrozumieć Piotra? Przecież nim fala wyniosła go tak wysoko, z dość dużą szczerością wzruszał się sprawami nie przynoszącymi wysokiego profitu pieniężnego — rozbrajaniem Niemców i niepodległością ojczyzny. Ale już w dwa lata później z idealnym, doskonale egoistycznym spokojem będzie patrzył zza stolika kawiarnianego na maszerujących na front ochotników. Bo też wtedy puścił był już bez cienia bólu Antoninę, wtedy przebywał już w towarzystwie wielkich „patriotów", magnatów Husarskich, uciekających do Poznania, u jego boku znajdował się już wtedy cynicznie wyrachowany adwokat Hendzel, wtedy czuł już przedsmak bogatej afery ze sprzętem wojennym... Czyż więc tylko Piotr zawinił?

Po sromotnym upadku, Piotr będzie niejednokrotnie zastanawiał się nad swoją przeszłością. Ale na uporczywe pytanie: „Co ja gorszego robiłem od innych?"— nie znajdzie właściwie odpowiedzi. „Jego kariera — mówi ktoś o Witkoszu — jest typowym objawem wyzwolenia sił ukrytych w społeczeństwie". To tylko pewna grupa społeczna (jak niegdyś uczciwi i bezinteresowni fornale) zaadoptowała Piotra po to, by go wykorzystywać, **ich interesy** kazały Piotrowi wspinać się tak wysoko, by później tym boleśniej odczuł klęskę, **obiektywnie** nie zasłużoną, krzywdzącą.

Właściwy, świadomy — jeśli można tak powiedzieć — upadek zacznie się dopiero wtedy, gdy Piotr poczuje swoją potęgę. Po uświadomieniu sobie tego, Piotr „szedł z wzgardą przez ulicę, dumny z tej przewagi, jaką mu dał pieniądz". Wtedy nie mógł jeszcze wiedzieć, iż „człowiekowi zdaje się, że odnosi jakieś zwycięstwo, gdy zostaje pokonany". Piotr pozna tę prawdę znacznie później, — za późno! Za późno też „spostrzegł, że jest na świecie coś więcej,prócz kobiety, szczęścia osobistego i miłości — dla czego warto żyć i trudzić się".

AKTUALNOŚĆ „SŁUPÓW OGNISTYCH".

W życiu Piotra Witkosza, jak w krzywym zwierciadle, odbija się całe wnętrze moralne tej warstwy społecznej, która w życiu każdego narodu stanowi narośl złośliwą i szpecącą. Gojawiczyńska poruszyła tu problem o znaczeniu kapitalnym. Nie należy bowiem łudzić się, że Witkosz jest typem par excellence już historycznym. Niestety, tak nie jest. I niepotrzebnie też Gojawiczyńska uprościła sobie w niektórych wypadkach zagadnienie mglistymi aluzjami atawistycznymi. Szalony pęd życiowy Piotra, jego wszystkie praktyki amoralne i nieetyczne, jego cynizm, geszefciarstwo, niestałość uczuć i żądzę władzy — tłumaczy Gojawiczyńska tak: „Nie przynosząc ze sobą przydziału społecznego, papierka, określenia, miał już w sobie dziedzictwo osobiste i dziedzictwo rodu ludzkiego". Ta uwaga wydaje się mocno kłócić z trzeźwą oceną postępowania Piotra przez pisarkę, z jej **świadomym uwypukleniem podłoża,** na którym zrodziło się witkoszostwo.

Byt kształtuje świadomość! Bo, jak mówi niezapomniana Kwiryna w „Rajskiej jabłoni" — człowiek powinien przejść takie „długie chłostanie, aż stanie się człowiekiem"... Uświadomi to sobie zresztą i Piotr (innymi może słowami) i z tą myślą, złamany fizycznie i moralnie, po sześciu latach więzienia, wróci do Antoniny, by umrzeć tak niespodziewanie, jak niespodzianą była cała jego kariera życiowa. Umrze właśnie wtedy „gdy dopiero zaczynał".

Wydaje się, że w „Słupach ognistych" wypowiedziała Gojawiczyńska swoje credo ideowe wobec niektórych warstw naszej społeczności. Wydając wyrok skazujący, stanęła Gojawiczyńska w szeregu tych ludzi, dla których nadrzędną dewizą moralną jest: „Salus civitatis suprema lex esto!"

Ostatnią swoją powieścią osiągnęła Gojawiczyńska wielki sukces formalny i ideowy. Wszystkie postacie centralne odmalowane zostały wyjątkowo żywo i zajmująco. Gojawiczyńska umie wyzwalać charaktery. Obok doskonałego Piotra, należy zwrócić uwagę na świetne postacie tragicznej Michaliny, Antoniny i Teresy. Zwłaszcza ostatnia, wprowadzona do powieści niejako z dnia na dzień, ukazuje niespodzianie rzadki w powojennej naszej literaturze profil psychiczny kobiety o niespożytej sile i moralności. Właściwie ona jedna przeciwstawiała się bohatersko Piotrowi i ona też jest pośrednią przyczyną jego ostatecznej klęski.

Gojawiczyńska daleka od idealizowania swego bohatera, nie stara się też „oczerniać" go konwencjonalnie. Rysunek Piotra jest wykończony aż do najdrobniejszego szczegółu. Wierne jest jego życie, tragizm, śmieszność i niewinność. Pozwala to nie potępiać bez reszty ofiary własnej nieświadomości i ludzkiej podłości.

Jest to najbardziej dojrzały, najpełniejszy utwór Gojawiczyńskiej.

JAN KAROL WENDE

Kolumna rozmaitości

KRONIKA KULTURALNA TRZECIEJ RZESZY

„Dziennik Powszechny“ podaje — za prasą niemiecką — opis „niezwykłej uroczystości, jaka odbyła się ostatnio w auli uniwersytetu berlińskiego“. Oto „w obecności ciała profesorskiego, zgromadzonego in corpore oraz licznej rzeszy studentów“ wygłosił tam prelekcję „o zadaniach współczesnej nauki niemieckiej“ sam znakomity Juliusz Streicher, redaktor „Stürmera“ — pierwowzór „naszego“ ks. Trzeciaka.

Streicher — który „zjawił się na katedrze ze szpicrutą w ręku“ — oświadczył, że „dawniej uniwersytety niemieckie były chlewem. Dopiero teraz wprowadzono karność i porządek. Ale jest jeszcze wiele do zrobienia.“ Trzeba bowiem oczyścić całkowicie naukę z naleciałości żydowskich, których nie jest ona jeszcze dotychczas pozbawiona. „Nauka — wołał Streicher — która wychodzi z założenia, że Żydzi także są ludźmi, nie jest żadną nauką, ale głupotą lub fałszem“! Podstawą wszelkiej nauki jest nauka o rasie — która, oczywiście, nie waży się nawet przypuszczać, aby Żydzi posiadali jakiekolwiek cechy ludzkie.

Wykład swój zakończył Streicher oświadczeniem: „Nie jest dla mnie żadnym zaszczytem, gdy po raz pierwszy przemawiam z tego miejsca. Odwrotnie, to ja właśnie swoją obecnością zaszczycam te mury. Dawniej nie przestąpiłbym progu tej sali.“ Wdzięczni za uczyniony im zaszczyt, uczeni berlińscy podobno „entuzjastycznie oklaskiwali przemówienie frankońskiego gauleitera“.

U nas jeszcze do tego nie doszło. Ale są i u nas tacy, którzy

TĘSKNIĄ DO PRAWDZIWEJ NAUKI

w rodzaju tej, jaką reprezentuje „profesor“ Juliusz Streicher. Oto w debacie nad budżetem Min. Oświaty zabrał głos m. in. poseł Doellinger — „komtur“ ozonowy, projektodawca „szkoły rycerskiej“ Zw. Młodej Polski — domagając się stworzenia nowych katedr antropologii na uniwersytetach polskich. Żądanie to motywował p. poseł „dużymi zdobyczami metodologicznymi“ polskiej antropologii — „szczególnie w koncepcjach rasy“. „Nie można nie doceniać tego problemu — argumentował nowy adept antropologii — jeśli się zważy, że jedną z głębszych przyczyn kryzysu liberalizmu XIX wieku jest zbagatelizowanie wewnętrzno-biologicznych stosunków człowieka, czyli zagadnienia rasy“. Według pana D. „jednym z postulatów antropologii jest zniesienie koedukacji w szkolnictwie, jak również oddzielenie w różnych szkołach Żydów od Polaków“.

Jakoś nic dotąd nie słyszeliśmy o tym, aby tego rodzaju „postulaty“ wysuwane były przez prawdziwych antropologów, jak prof. Czekanowski czy Stołyhwo (wątpimy, nawiasem mówiąc, aby byli oni radzi tak osobliwemu uzasadnieniu potrzeby nowych katedr antropologii) — jak dotychczas, żądanie „oddzielenia w szkołach Żydów od Polaków“ głosili tylko ci, którzy czaszki ludzkie mierzą nie metrem lecz pałką i łomem. Ale może to właśnie oni reprezentują naukę prawdziwą, nie skażoną żydowskimi naleciałościami?

KULTURA NIE JEST „TABU“

Jeśli w przemówieniu p. Doellingera brzmi nuta streicherowska, to w artykule p. Jerzego Henryka Bandrowskiego (pokrewieństwo z p. Juliuszem Kaden-Bandrowskim — nieustalone) dźwięczą tony znanych melodii Goebbelsa. Pan J. H. Bandrowski, pisząc w „Jutrze Polski“ (organ oficjalny mjra Galinata, szefa „Służby Młodych“ Ozonu) o „przerostach kulturalnych“, stwierdza:

„Nie poddajemy się magii „wielkich“ słów, jak „demokracja“ i „kultura“, nie uważamy ich za wielkość samą w sobie, za święte, nienaruszalne tabu“. Cóż to znaczy? Znaczy to, że „koniecznym jest ukrócenie rozprzestrzeniania drukiem przerośniętych i niestrawnych wykwitów myśli ludzkiej. Chociaż myśli te rodziły wielkie mózgi i chociaż myśli te w gronie profesorów uniwersytetu są przedmiotem nieszkodliwej i interesującej wymiany zdań, gdzieindziej wprowadzić mogą nieprzewidziane i smutne skutki. „Gdzieindziej“, to znaczy w izbach rzemieślników i chatach chłopów“.

Albowiem Romain Rolland, Sinclair — a zapewne także Mickiewicz, Słowacki, Żeromski, Konopnicka, których p. J. H. Bandrowski chyba tylko przez zapomnienie nie wymienił — są dla człowieka, „który objiał się conajwyżej przez kilka lat w szkole powszechnej“, niebezpieczni. Człowiek taki może na dziełach tych pisarzy oprzeć swój światopogląd — a wtedy „możemy oczekiwac niespodzianek“.

„Życie współczesne dokonało przeobrażeń w strukturze społecznej. Bogacze i sybaryci musieli się już wyrzec części swych uprawnień na rzecz głodnych i nędznych (?). Nie z dobrego serca i nie dla frazesów. W dobrym zrozumieniu własnego interesu“. I tak samo „w dobrym zrozumieniu własnego interesu“ powinni „zrezygnować z osiągania intelektualnych szczytów, jałowych i martwych jak każdy szczyt.“ Trzeba ogrodzić kulturę drutem kolczastym, aby do jej szczytów nie mieli dostępu głodni i nędzni.

Oto jest „odwrotna strona“ ozonowych programów „upowszechnienia kultury“.

KSIĄŻKI NĄDESŁANE

Józef Morton: Wawrzek syn Wawrzyńca. Powieść. Warszawa 1939. Two Wydawnicze „Rój“.

Wydawnictwa J. Mortkowicza, Two Wydawnicze w Warszawie:

Wacław Husarski: Malarstwo włoskie. Odrodzenie. 48 reprodukcji całostronicowych.

Adolf Sowiński: Gospoda zmierzchu. Poezje. Warszawa 1939.

Wydawnictwa Twa „Rój“:

Władysław Tomkiewicz: Więzień kardynała. Warszawa 1939.

Alicja Tisdale Hobart: Yang i Yin. Przeżycia amerykańskiego lekarza w Chinach. Warszawa 1939.

Tadeusz Hauser: Bankowość III Rzeszy. Biblioteka Polskiego Tow. Ekonomicznego we Lwowie. Lwów 1938.

Władysław Sola: Starzy i młodzi. Warszawa 1939.

Józef Wasowski: Kto może być dziennikarzem? Warszawa 1939. Nakładem Wyższej Szkoły Dziennikarskiej.

Jan Nelken: Omamy psychorodne. Odczyt wygłoszony na XVIII Zjeździe Psychiatrów Polskich w Poznaniu. Odbitka z „Rocznika Psychiatrycznego“ Warszawa 1938.

Fryderyk Bertisch: Kwiaty na ugorze. Poezje. Stanisławów 1939. Nakł. Księg. Pauliny Haskler.

Związek Nauczycielstwa Polskiego: Sytuacja szkoły i nauczyciela. Warszawa 1939.

Pamiętniki Emigrantów: Francja. Wydawnictwo Instytutu Gospodarstwa Społecznego. Warszawa 1939.

Pamiętniki Emigrantów: Ameryka Południowa. Wydawn. Instytutu Gospodarstwa Społecznego. Warszawa 1939.

Bogusław Kuczyński: Starzy ludzie. Powieść. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1939.

Jarosław Iwaszkiewicz: Dwa opowiadania. Gebethner i Wolff. Warszawa 1939.

Gustaw Morcinek: Maszerować!... Powieść o Zaolziu. Nakładem Gebethnera i Wolfa. Warszawa 1939.

Tom XXIV „Nauki Polskiej“: Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego Instytutu Popierania Nauki. Warszawa 1939.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani A. S. w Krakowie: Zofia Nałkowska i rzeźbiarka Hanna Nałkowska-Bikowa są rodzonymi córkami Wacława Nałkowskiego. Anna Nałkowska jest ich matką.

Pani Z. S. w Zakopanem: Nie skorzystamy. Nadaje się do działu sportowego w piśmie codziennym.

OD WYDAWNICTWA

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26 630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 141 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.